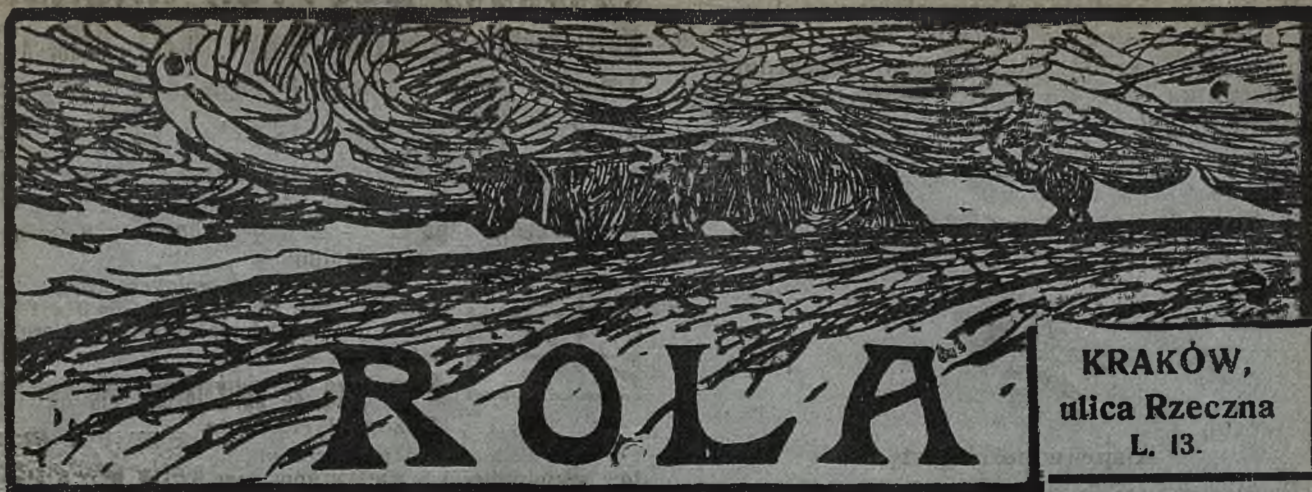
Nr 51. Należytość pocztowa opłacona gotówką. Kraków, dnia 15 grudnia 1935



KRAKÓW, ulica Rzeczna L. 13.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy

Według mody.

Do urzędu parafjalnego przyszła pewna elegantka zaprzesadnie ubrana, po wyciąg metryki. Przyczem ks. proboszcz zwrócił jej uwagę na nieskromność. Owa elegantka odrzekła na to: — No jegomość! ja postępuję według mody.

— Niechże będzie panienka łaskawa przyjść po metrykę jutro!

— No a dziś czemu nie?

— Bo teraz taka moda.



Usprawiedliwił się.

Pewien gamoń, przypatrując się wystawie sklepowej, stłukł przez nieostrożność szybę; chcąc tedy uwolnić się od odpowiedzialności, zaczął uciekać cwałem w ulicę, lecz naszczęście został przytrzymany przez dopędzającego go właściciela sklepu.

— Mam cię bratku, toś ty mi stłukł szybę?

— Ja panie.

— A dlaczegoś uciekał?

— Bom się spieszył do domu po pieniądze, aby panu zapłacić za szkodę.



Zapomniana sól.

Matka kąpie swe najmłodsze dziecko, a przygląda się temu ciekawie trzyletnia siostrzyczka. Niema pod ręką pudru, więc chce już małego zawinąć. Mała Zosia przynosi jednak puder i podaje go mamie z wyrzutem:

— Mamutiu, zapomniałaś małego posolić!



Zrozumieli się.

Dokrór: — Ależ mówiłem wam tyle razy, gospodarzu, że stawiać chlewy dla nierogacizny tak blisko domu to bardzo niezdrowo! A jednak nie usłuchaliście mej rady.

Gospodarz: — Ady, panie doktorze, jeszcze mi żadna świnia przez to nie zachorowała.

Nr 51. Wychodzi rok XVIII Kraków, dnia 15 grudnia 1935



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1935: Rocznie 12 zł., półrocznie 6·40 zł., kwartalnie 3·30 zł.; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. Półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 3 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ul. Rzeczna 13.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.808

Gdy śnieg pokryje ziemię.

Biel śniegu ma w sobie coś żałobnego, chociaż biała barwa jest, jak wiadomo, tylko w Chinach barwą żałoby. Urok pewien posiada krajobraz zimowy, gdy z okna ciepłej, zacisznej izby patrzymy na pola przez zamrożone w połowie kwiatami szyby.

Na tle chmur siwych, smętkiem ciężarnych dostrzegamy tylko ciągnące się niby sznur czarnych korali bezdomne kawki lub gawrony.

Przed mrozem, śniegiem i wichrem lodowym, krew mrożącym, chronią się ptaszęta polne i leśne do wsi i miast, ściągają do ogrodów i pod strzechy domostw i stodół, aby ratować drogie życie.

Na powłoce śnieżnej wałęsają się liczne ptaki, jakie pozostały na zimę w naszym kraju, jak sikorki, zięby, czyże, szczygły, trznadle, śmigouszki i wróble, szukające wśród głodu i chłodu pożywienia, na rosnących pod płotami i na nieużytkach ostach, pokrzywach, lebiodach itp. Po większej części ptactwo już wyjadło nasienie tych roślin, zapasów coraz mniej i stół z dniem każdym chudszy i uboższy.

Nakazem więc miłości bliźniego jest dostarczyć tym naszym wiernym, skrzydlatym śpiewakom, którzy nas mimo mrozu i śniegów nie opuścili, pożywienia, by przetrwały ciężki czas zimowy.

W jaki sposób?

W krajach o dobrze pojętej kulturze, gdzie rolnicy i ogrodnicy zrozumieli wartość i pożytek dla rolnictwa i ogrodnictwa ptaków, widzieć można w każdym ogrodzie poustawiane skrzyneczki, zaopatrzone w daszki, chroniące wnętrze przed zaśnieżeniem. W skrzyneczkach tych codziennie podają karmę ptasią jak: ziarno konopi, słonecznika, pszenicy pośledniej, różne kaszy, okruszyny chleba, zeskrobki mięsne z kości i t. p. Te skrzynki, menażki ptasie, przymocowuje się albo przy płotach, altankach, albo w rozwidleniu gałęzi drzew w takiej wysokości, by można dogodnie karmę posypać i, jeśli zostały zaśnieżone, wymieść. Koszta są minimalne, a sposób zrobienia bardzo prosty.

Każdy ogrodnik i rolnik powinien podczas zimy dokarmiać ptaki we własnym, dobrze zrozumiałym interesie. Jeśli teraz nie przyzwyczaimy i nie ściągniemy ptaków do naszych ogrodów. to nie spodziewajmy się, by one na wiosnę i w lecie się w nich gnieździły, odwiedzały je i oczyszczały z gąsienic, liszek, mszyc i różnego innego robactwa, niszczącego rozsądę warzyw i owoce. Straty, jakie gąsienice i mszyce wyrządzają w ogrodach i polach, są niepowetowane, a w stosunku do nikłych kosztów zimowego dokarmiania ptaków — olbrzymie.

Jedna para sikorek wylęga w ciągu lata do dwunastu młodych, pozostających do czterech tygodni w gnieździe. Chociażby każde z młodych zjadało dziennie tylko do 5 gąsienic, to uczyni na całe gniazdko 50, a przez 30 dni — 1.500 wytępionych szkodników. Daremne są późniejsze żale w lecie, że gąsienice i mszyce niszczą ogródki i całe zagony kapusty.

Za przykład jest podany tylko pożytek z jednej pary sikorek w przeciągu jednego miesiąca. Lecz oprócz sikorek tępią szkodniki ogrodowe zięby, wróble, trznadle i t. p.

To dotychczasowe lekkomyślne zaniedbanie zimowego dokarmiania ptaków nietylko można, lecz należy naprawić. Największe korzyści i pożytki z dokarmianiania ptactwa odniosą sami właściciele ogródków, ogrodów, sadów i pól. Walka z robactwem zapomocą ptaków jest bardzo tania a skuteczna, przez inne środki kosztowna a w wynikach nieraz bardzo wątpliwa.

J. I. KRASZEWSKI.

Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej Miecznikównie.

(Powieść historyczna).

(Ciąg dalszy)

Wtem nadbiegł Majerek, żona jego, dzieci. — Wszyscy wiedzieli o śmierci Janasza i osłupieli, widząc go żywego. Gwar, szwargot, wykrzyki powstały w karczmie.

Konie, któremi Janasz przybył, zmęczone były bardzo, dalej już iść nie mogły, nie miał więc zamiaru stanąć na noc w Mierzejewicach. Nikita także chciał był nocować, lecz zmienił plan.

— Panicz tak chcesz spaść jak z nieba, bez oznajmienia, to nie może być — odezwał się. — Lepiej będzie, jak ja trochę przygotuję. Panienka chora, jegomość świeżo po chorobie, jak się pan tam pokaże, nie! to będzie źle. Ja na całą noc pojadę, a panicz dopiero jutro rano.

Nie sprzeciwiał się Janasz.

W chwilę, też zdawszy małe sprawunki na Majerka i poleciwszy mu, aby je do sani Janaszowi włożył, Nikita wódki się napił i jakby inny człowiek pospieszył napowrót do Mierzejewic.

W chwili, gdy się go jak najmniej spodziewano, Nikita już o późnej godzinie zajechał przed stajnię, konia oddał fornalowi, a sam, że się u miecznika jeszcze świeciło, pobiegł do niego.

Miecznik, swoim zwyczajem, powróciwszy do sypialni, klęcząc pacierze odmawiał; odwrócił głowę, zobaczył Nikitę, trochę się zżymnął, lecz modlitwy kończył. Dworak stał u progu. Po chwili, trzykroć uderzywszy się w piersi z całych sił, pochyliwszy przed obrazem, stary oparł się o łóżko, dźwignął i wstał. Popatrzył na Nikitę.

— Czegożeś ty, warjacie, leciał tak po nocy, na skręcenie karku! Wilcy stadami chodzą! Konia pewnie ochwaciłeś. Czemuś nie nocował w miasteczku? Co to jest!

— Gdzie tam, proszę jasnego pana, nocować było! Koni pełno, ludzi tłok, noc jasna, nie spędziłem szkapy.

— A co ci tak było pilno? to nie darmo — zawołał miecznik.

Nikita pomilczał.

Kwintę zamówiłeś?

— Będzie jutro.

— Ryby dostałeś?

— A jakże!

— Gdzież u licha, po nocy?

— To Majerek.

Miecznik ramionami ruszył.

— No, to ruszaj spać!

— Proszę jaśnie pana, choć to niepewne, ale w gospodzie byli ludzie, jadący z Krakowa. Otóż jeden z nich bajki plótł...

— Co za bajki?

— Że tam dużo jeńców naszych król jegomość wymienić kazał teraz i że jeden z nich do Mierzejewic o furę pytał.

Miecznik przyskoczył doń z oczyma iskrzącemi.

— Na Boga! Nie pytałeś jak wyglądał?

— Mówili, że młody, tylko zmizerowany.

Łzy stanęły w oczach miecznikowi i podniósł ręce do góry.

— A! gdyby też Bóg cud uczynił! gdyby to był Janasz poczciwy!... cobym dał! cobym dał!

— No, tak z opisu toż się zdaje — dodał Nikita, patrząc mu w oczy i uśmiechając się dziwnie.

Zboiński wpatrzył się w niego i więcej począł się domyślać, niż słyszał. Przystąpił do niego i uderzył go po ramieniu.

— Ty coś wiesz, gadaj! nie bierz mnie na męki.

— Proszę pana, ja myślę, że on żyje!

— Myślę! myślę! mów, wiesz i lękasz się powiedzieć. Co to, ja dziecko? trutniu jakiś!

Nikita się w głowę poskrobał i za kolana go pochwyciwszy, wybuchnął:

— Jaśnie panie, Janasz żyje! żyje! na mojem go oczy widział!

Miecznik podskoczył, ale też do łóżka się odwrócił, do obrazu Chrystusa, padł i ręce rozłożywszy, głośno począł dziękować Bogu.

O Nikicie jakby zapomniał.

— Jejmość! Pójdź, zakołacz do Tulskiej, spytaj, czy pani się położyła?

Nikity już w izbie nie było. Miecznik chodził poruszony, trąc czuba, śmiejąc się sam do siebie.

— Bóg łaskaw, Bóg dobry, z sumienia mi kamień spadł.

Wtem pani Zboińska, jak stała w białym przyodziewku i czarnej katance, w czepku nocnym, zjawiła się we drzwiach. Postrzegłszy męża, który, po izbie chodząc, nogą podrzucał do góry, jak to był zwykł, gdy mu się co nadzwyczaj szczęśliwego, trafiło, osłupiała.

— A tobie co przyszło do głowy?

— Kochanie, panno moja, zgadnij, coć powiem.

Miecznikowa stanęła zdumiona.

— Cóż ty ze mną w zagadki grasz? mieczniku, co ci jest?

Zboiński do góry rękę podniósł.

— Chwała Panu na wysokościach... Janasz żyje!

Pani Zboińska krzyknęła, ale zamiast radości, której się miecznik spodziewał, stanęła niema, zamyślona dziwnie, a po chwilce, uchwyciwszy blisko stojące krzesło, siadłą na niem i w milczeniu na ręce się podparła, patrząc na ogień, palący się na kominie.

Zboiński nie mógł tego jej usposobienia zrozumieć: zmieszał się.

Zboińska wreszcie spojrzała na męża, jakby badając go, i namyśliwszy się, poczęła:

— Bogu niech będą dzięki! tak, cieszę się i ja, dla was, dla nas, dla niego, cieszę się, ale mój drogi Krysia, radość to z piołunem zmieszana.

— Nie rozumiem, słowo daję.

— Kiedy już Bóg tak zdarzył, to może lepiej, abyśmy się rozmówili bez ogródki.

— Ale na rany Chrystusowe! moja panno, mów, a prędko! W istocie do mojego życia nalaliście piołunu, nic nie rozumiem, trwożę się wkońcu. Co tam chowasz takiego?

Stanął przed nią miecznik; ta się wahać zdawała jeszcze, powstała z krzesła.

— Wola boża, ja matka nie podołam temu, dla ojca tajemnic być nie powinno. Wszyscyśmy Janasza kochali jak dziecko, ale pono nasza Jadzia pokochała go zanadto. Rozumiesz mnie? On temu nic nie winien. Uciekał prawie od niej. Dziewczę niewinne nie widziało w tem nic złego. Już w Gródku to postrzegłszy, starałam się ich rozdzielić. Janasz chciał tam zostać z dobrej woli, potem wyjechał do jegomości z listami i obłożnie zachorował w Konstantynowie. Przybyłyśmy tam, gdy go już na śmierć dysponowano, leżał jak trup. Jadzia przypadła do niego i głosem swoim do życia go w moich oczach przy-

wołała. Chłopiec temu nic nie winien, ale trzeba ich rozdzielić. Widziałeś, co się z nią stało, gdy przyszła wiadomość o jego śmierci? Teraz, gdy się z tą myślą oswajać zaczęła, ten powraca...

Załamała ręce. Miecznik stał jak wkuty do ziemi, pobladł, zmienił, się, usta wydął.

— Chciałoby się nie wierzyć tej biedzie — rzekł zmienionym głosem — ale ty, moja droga, masz oczy kobiety i matki, musi to prawdą być.

— Głowę tracę.

Oboje zaniemieli na chwilę. Miecznik się przechadzać zaczął zadumany.

— Co tu począć?

— Ja ci się z radą nie śmiem wyrywać — rzekła powoli miecznikowa. — Nikita może się jeszcze nie wygadał, zawołaćby go, nakazać mu, żeby nikomu ani pisnął, a posłać do Janasza, niech do Krakowa do króla jedzie. Dziewczę zapomni, kasztelanic się z nią ożeni, i...

Miecznik głową trząsł.

— Komplikacja — zawołał — a w dodatku kłamstwo. A nuż się wygadają! I znowu chłopca mi żal, jam życie mu winien, a odpędzę go od progu, jakby on co zgrzeszył. Przecież jejmość mówisz sama, że on tego na sumieniu nie ma. Jakże z nim tak postąpić?...

— Wszystko to prawda — łagodnie zaczęła miecznikowa — ale tu o dziecka jedynego szczęście i spokój chodzi.

— Jak mi Bóg miły, pierwszy raz w życiu tracę głowę, nie wiem, co począć...

— Przecież mu jej dać nie możemy? — zawołała matka.

— Ani śnić o tem! — wybuchnął miecznik. — Chłopak mi drogi — ale ani on może tak wysoko sięgnąć, ani ja tak się poniżyć! Gdzie! co za podobieństwo!

Chmurny, przeszedł się parę razy, otworzył drzwi i krzyknął w sień!

— Nikita!

Chłopak pobiegł wołać przybyłego. Stanął we drzwiach z twarzą rozjaśnioną.

— Czyś ty się już przed kim z tą nowiną nie wypaplał? zapytał miecznik.

— Ja? żywej duszy nie widziałem. Chodziłem do kredensu, czy co zjeść nie znajdę.

— Jak ty mi piśniesz — rzekł po cichu, przystępując do niego stary i palcem grożąc mu na nosie — to mi się nie pokazuj na oczy!

Nikita ramionami ruszył, niczego nie rozumiejąc.

— Idź zaraz do stajni, każ sobie do sanek dać srokacza, weź chłopca dla bezpieczeństwa. Wracaj natychmiast do miasteczka, do Janasza dam ci list. Ale milczeć — bo...

Miecznik siadł zaraz pisać; pani Zboińska nie wychodziła.

— Niewdzięcznie się znajdujemy względem niego — odezwał się stary głosem, w którym łzy czuć było. — Serce mi się kraje, brzydzę się sobą, ale dziecko! jedyne dziecko! Bóg przebaczy... Moja jejmość, krew się pieniądzmi nie płaci, to prawda, miłość się nie nagradza posagiem, ale niechże biedak choć głodu nie cierpi. Trzeba go wyposażyć.

— Daj, co chcesz — zawołała Zboińska.

— Tysiąc dukatów mu poślę, niech się ma czem z pocztem postawić. Ale żebym też choć po kryjomu, widzieć go nie mógł!

— Gościa masz w domu — odezwała się Zboińska — na jutro zaproszonych osób tyle.

— Aleć w miasteczku go żydzi poznali i widzieli, to się nie utai — zawołał.

— Zakażemy mówić! Któżby śmiał! Majerek swoim zapowie, żeby milczeli.

Miecznik westchnął i siadł pisać. Ręka mu się trzęsła, oczy ocierał. Wreszcie, pióro rzuciwszy, wstał.

— Dopisz kilka słów — rzekł do żony — tyleśmy mu choć winni.

Miecznikowa, która widziała wzruszenie męża, przybiegła do stołu, pogładziła go po twarzy.

— Serce moje, pamiętaj, że to dla Jadzi czynimy. W sumieniu nie mamy nic. Chcesz mu ją dać?

Miecznik za głowę się pochwycił.

— Ale dajże mi pokój! wiesz, że umarłbym, gdyby tak za mąż wyjść miała! Do czegoby to było podobne! Nie mów mi tego, proszę.

— Mówiłeś o tysiącu — dodała Zboińska — daj mu dwa!

— Niech mu wiezie trzy — rzekł spokojnie miecznik — ale ja ci się klnę, że on i jednego nie weźmie. To wszystko jedno.

Siadła pisać pospiesznie Zboińska, a że w spokojny czas nieosobliwie wcale z piórem się obchodziła, teraz trudno było wyczytać, co nakreśliła. — Miecznik chodził jak oszalały, za głowę się rwąc.

— Tego mi jeszcze było potrzeba! — mruczał — po niewoli, po tych wszystkich plagach!...

Wkrótce Nikita milczący z pieniądzmi od stajni ruszył. Szczęściem, że mu Hołobę dano, który srokacza prowadził, bo sam nie byłby pewnie trafił do miasteczka, tak przygnębiony jechał i zrozpaczony.

Zabierało się na dzień, gdy czarne dachy miasteczka, których śnieg od dymu okopciał, pokazały się na polu okrytem biało. W karczmie zamkniętej spało wszystko, trzeba było bić do drzwi długo, zanim zaspany belfer przyszedł otworzyć. Nikita wydobył swój ciężar z sanek i poszedł do izdebki, w której spał Janasz. Zrazu nie bardzo go chciał budzić, lecz słysząc hałas, Korczak sam się zerwał, pytając czy nie dnieje? Pilno mu było do Mierzejewic.

Wtem na progu ze świeczką pokazał się Nikita. Przetarł oczy Janasz, popatrzył na niego.

— Co się z tobą stało? zbłądziłeś? nie dojechałeś do Mierzejewic?

Nikita rzucił zawiniątko, siadł na ławie i list dobył? Twarz jego mówiła wiele; domyślił się Janasz czegoś złego i rękę drżącą po list wyciągnął. Serce mu biło, odgadł niemal, co go czekało. Przy ogarku począł czytać list miecznika krótki, serdeczny, ale okrutny zarazem. Czytał, raz, błądził po nim oczyma, czytał, drżał mu papier w rękach, potrzebował długiej chwili czasu, nim przyszedł do siebie. Zabrakło mu głosu. Nikita patrzył na niego z politowaniem, z bólem, z gniewem na miecznika, ale nie mówił też nic.

Przemógłszy ból wreszcie, Janasz list położył, głowę podparł, dumał.

— Mój Nikito — rzekł — kiedy taka wola państwa miecznikowstwa, ażebym pozostał umarłym, proszę cię, zakaż Majerkowi, ażeby o mnie nie gadał. Ja zaraz stąd ruszać muszę, tubym długo nie mógł zostać.

— Pieniądze — dodał — odwieziesz napowrót, ja ich nie potrzebuję, przyjąć nie mogę. Król mi dał na drogę, to starczy na powrót, lub... nie wiem. Trzeba sobie szukać kąta.

Wtem Nikita wybuchnął.

— Ani po panu, ani po pani tego się nie spodziewałem.

— Na miłość Boga cicho! — przerwał Janasz — oni wiedzą, co czynią. Ja tego im za złe nie mam, tak musiało być. Zawiniłem, żem się z Krakowa nie zgłosił.

Rozpłakał się Nikita. Janasz wstał co żywiej, aby tę samą furę napowrót do Krakowa zamówić. Nikita kilka razy narzekania poczynał, ale mówić mu nie dał. Za karczmą ścisnęli się w milczeniu, a dworak, widząc oddalające się sanki, stał długo, jakby wryty. Wreszcie zawiniątko wrzucił d˰ wozu i do Mierzejewic powrócił.

Następny dzień w Mierzejewicach. który usiłowano uczynić wesołym, nie był takim wcale. Coś ciężyło na wszystkich sercach, jakiś niepokój widać było na twarzach.

Przed południem nadjeżdżający goście szczęściem przynieśli z sobą roztargnienie. Wesoły humor miecznika chwilami brał górę. Pani Zboińska krzątała się, podwajając starań i gościnności.

Jadzia wyszła też ubrana wedle rozkazu matki, ale z twarzą, której żaden nakaz nie mógł odmienić. Uśmiechała się łagodnie, smutnie, roztargniona i jakby na wszystko obojętna. Rówieśnice napróżno się ją rozbawić starały i przyjaciółki wypytać.

Opowiadała im, że od chwili tej, gdy ją z matką Tatarowie napadli i śmierć lub niewolę widziała już przed sobą, do dawnej wesołości jakoś powrócić nie może.

Tymczasem wśród wiwatów i wystrzałów zabawa przeciągała się do dnia. Jabłonowski miał pono zostać przez ostatni wtorek, ale zrana pożegnał oboje gospodarstwo i niespodziewanie wyjechał.

Matka, która pilnie miała oko na córkę, dostrzegła, że posępna twarzyczka jej, po odjeździe kasztelanica wyjaśniła się i wypogodziła. Trwały zabawy umyślnie dnia następnego, aby się ludziom nie zdawało, że je tylko dla Jabłonowskiego wyprawiano. Jadzia odetchnęła dopiero swobodniej na mszy popielcowej.

— A!... przecież to się skończyło — szepnęła po cichu.

XXIV.

Macieńczyn, dwór pana Korczaka, o parę mil od Sandomierza, znany był wkoło na mil wiele, jako miejsce, które ludzie w największej nawet potrzebie schronienia omijać musieli. W pośród starych drzew, których gałęzie z kory były poodzierane, opasana połamanemi płotami, stała przy kupie gruzów, na starem pogorzelisku, porosłem chwastami, murowanka, która snać z niedogorzałego dworu dawnego pozostała. Wieś nieopodal, rozłożona nad rzeczułką, daleko zamożniej wyglądała od dworu.

W dzień zimowy, furka, dosyć nędzna, stanęła u wrót dworu, których otworzyć nie było komu. Dwa brzydkie psy, z sierścią najeżoną, wyskoczyły, ujadając ku bramie; postać jakaś, w kożuszku brudnym, ukazała się na progu murowanki i znikła. — Mężczyzna młody wysiadł z sanek i począł furtki szukać do wnijścia, ale tej nie było, i wrota trzeba było, zasypane śniegiem, odsunąć nieco, aby się dostać w podwórze.

Widząc, że przybyły tak stanowczo się dobija, wyszedł chłopak odarty z chałupy.

— Jest pan Korczak w domu? — zapytał gość.

Chłopak patrzył i milczał, nie śmiał odpowiadać. Po chwili zapytał sam.

— A wasza miłość kto?

— Pytam cię o pana.

— Albo ja wiem.

Postać w kożuszku pokazała się w progu, chłopiec na nią rękę zwrócił.

Przybyły, broniąc się, jak mógł, psom, zbliżył się do murowanki. Po kilkakroć stojący tam w kożuszynie, to chował się, to pokazywał.

– Pana niema w domu! niema w domu — rzekł wkońcu zdala.

Przybyły roześmiał się smutnie:

— Ale, panie Korczak, samże nim jesteś.

Kożuszek się schował i znowu wyszedł. Rękę do oczu przyłożył.

— Nie mam honoru znać!

— Jakto! w Krakowieśmy się spotkali! Przypomnij pan sobie! Korczak Janasz.

— E? nie przypominam.

— U Zbylutowskich, w gospodzie.

— Gdzie? kiedy to było? w Krakowie?

– Ale niedawno. Kazałeś mi pan pisać do Macieńczyna, wolałem przybyć sam.

Kto taki? kto?

— Korczak.

— Jaki Korczak? Korczaków teraz jak grzybów narosło.

— Aleś mi pan kazał przybyć!

— Ja? śniło się! hm! ja?

— Przypomnij pan sobie.

Zamyślił się stary i ustami zaczął robić, jakby co przeżuwał.

— A no? a no? Nie chciałeś waszmość mnie, kiedym ja go prosił. Przyszła koza do woza; teraz ja waszmości nie potrzebuję. Widzisz sam, jaka tu nędza! hę? co?

Janasz popatrzył nań, skłonił się i już chciał odchodzić.

Stary za nim oczyma powlókł i zawołał:

— Stój waszmość, czekaj. U mnie w izbie nie palono, ale na kominek trzasek przyniosą, chodź się ogrzej z drogi, chodź.

Janasz się zawrócił. Przez bardzo brudną sionkę weszli do izby, której okna były tak pozamarzałe i brudne, że w niej o białym dniu mrok panował. Tu stał stół prosty, nakryty wyszarzanym kilimkiem w pasy, poodzieranym po końcach, kilka stołków i szafa, pomalowane niegdyś niebiesko. Komin wystygły, pełen był popiołu i śmiecia, w rogu izby leżała kupa rzepy, pokrytej słomą, a woń od niej rozchodziła się szeroko.

— Siadaj, gołąbku, siadaj – rzekł Korczak — zawsze tu zaciszniej, niż na podwórzu. Ja ciepła nie mogę znieść, odwykłem, choruję od niego; a z daleka, kochanie?

— Z Podlasia.

— Kawał drogi, a dokąd?

— Sądziłem, że do Macieńczyna.

Westchnął stary.

— A cobyś ty tu robił, kochanie? Ty, widzę, słabowity, delikatny, do ciepła przywykły, do gorącej strawy, do przysmaków, do mięsa, a u mnie tu bieda. Ja żyję chlebem i wodą, szczególniej teraz, w post.

Nie było co mówić ze starym, który oczyma świdrował przybyłego.

— Ano to prawda, że mnieby się do papierów pomoc zdała, ale u mnie praca i życie ciężkie. Inaczej zbawionym być trudno, gołąbeczku mój, człowiek się psuje, mięknie.

Janasz nie mówił nic.

Stróżka, istny obraz nędzy i brudu, niosąc trzaski weszła hałaśliwie i spytała: gdzie zapalić?

Stary zawahał się nieco.

— Ano tu, tu.

Przysiadła więc przy kominie, usiłując ognia naniecić. Był to snać zwyczaj przy gościach. Trzaski dużo dymu wydały, dym z zimnego komina rzucił się na izbę i wkrótce jeszcze ciemniej, było w niej niż wprzódy, a do tego i duszno.

— To nic, kochanie, to przejdzie zdrowo.

Rozmowa w czasie pobytu sróżki przerwała się zupełnie. Dopiero gdy ogień błytnął i kobieta, trzaskając drzwiami, wyszła,Korczak, westchnąwszy, począł znowu:

— Cóż ty, kochaneczku, myślisz teraz z sobą?

— Nie wiem — rzekł Janasz — dostanę się do Krakowa, do króla, a tam, co Bóg da.

Milczeli. Janasz patrzył w komin, opończą się okrył, bo w izbie było zimno, w rodzaju obojętnego osłupienia siedział, a stary mu się przypatrywał.

— Jegomość piszesz? kochanie moje.

Janasz się uśmiechnął.

— I po łacinie nawet, byłem-ci u księży Jezuitów w Lublinie.

— A prawa cokolwiek znasz?

— Tyle tylko, co się gdzieś posłuchało o niem z przypadku.

— Ale... nie święci garnki lepią — rzekł stary — Byle ochota, kochanie.

— Nie mam jej — rzekł przybyły krótko.

Korczak ustami począł coś żuć znowu długo.

— Wiesz co, ja waszmości powiem, mój gołąbku, bo mi ciebie żal, żeby cię Turcy gdzie zabić mieli, bo ty taki prawdziwy jesteś Korczak. Posiedź u u mnie sobie, tak dla wypoczynku, czasem dla zabawy co przepiszesz, czasem się przejedziesz. Jeść no jeść, krupnik się znajdzie, jeśli już koniecznie trzeba; chleb razowy, bo to najzdrowszy, a wodę mam w studni, jakiej nigdzie na świecie niema. Odpić się nie można. Zobaczysz, ona cię odżywi. Trunki wszystkie djabła warte, woda to boży trunek.

Janasz zamyślony nie odpowiadał nic.

— Izba jedna stoi próżna, ja ci ją pokażę, chodź, to tu przez drzwi.

Weszli do ciemnej sionki: z niej drzwi nie zamknięte prowadziły do izdebki tak brudnej, jak pierwsza, o jednem oknie. Tapczan w niej stał nagi, stołek jeden i skorupa pusta: zamiast podłogi, cegły leżały potłuczone na ziemi. W kącie piec bez drzwiczek, lepiony, wiał chłodem.

Straszne to było i przypominało mimowolnie Janaszowi tureckie jego więzienie. W niem nawykł on do wszystkich niewygód. Teraz było mu obojętnem, gdzię się podzieje, byle znaleźć przytułek.

Cicho więc odpowiedział Korczakowi, że zgadza się pozostać. Staremu oczy zabłysły.

— Ja ci, kochaneczku, nie obiecuję nic, pamiętaj to sobie dobrze; no, dach nad głową, dobre serce, nędzą się dzielę, ja sam biedny, widzisz.

Janasz mu odpowiedział, że niczego nie żąda.

Tak tedy stanęła jakaś umowa i swój tłómoczek kazał Janasz przynieść do izby, postanowiwszy sam już ją sobie wyporządzić. Co dalej miał począć, dobrze nie wiedział.

Rozglądał się właśnie po tem nowem schronieniu, gdy Kożuszek powrócił.

— Ale oto, gołąbeczku — odezwał się — o jednej bardzo ważnej rzeczy zapomniałem. Pobożny jestem i Pana Boga chwalę. I ty, kochanie, do kościoła żebyś sobie poszedł pomodlić się, a! owszem, ale na plebanję, to wara! Kto u mnie mieszka, ten do proboszcza nie gada! To mój wróg. U ołtarza szanuję, ale więcej z nim stosunku żadnego. To sobie waruję; na plebanję żebyś nie chodził.

Janasz dziwił się niezmiernie.

— Czyżbyś mi pan miał bronić znajomości robić? — zapytał Janasz — a toćby była niewola, gorsza od tatarskiej.

Skwarka złożył ręce.

— Kochanie! gołąbku! nie bronię, tylko przestrzegam. Powiadam ci: sknera, skąpiec, dusigrosz. Ja się go boję, ja cię przestrzegam. Chytry... niebezpieczny...

Nie śmiejąc snać puszczać się w dalsze dowody, Korczak natychmiast się wysunął. Objęcie nowego mieszkania wiele pracy kosztowało Janasza, lecz było to razem zajęcie i rozrywka, której potrzebował.

Stary zdaleka przyglądał się z pewną nietajoną radością, jak sobie sam nosił wszystko, uprzątał gość miły. Z pozostałego grosza dokupił nawet, co było potrzeba, ażeby tę pustkę uczynić mieszkalną. Korczak udawał, że tego nie rozumie. W miarę jak izba stawała się schludniejszą, przychodził ją oglądać i cieszył się tem. Piec stanął nareszcie, a trzasek do niego i suszy Janasz przysposobił sobie sam, z pomocą najętego ze wsi parobka.

Korzystał z tego Korczak po cichu i wieczorem temi drewkami sam potajemnie u siebie palił.

(Dokończenie nastąpi).

17 włoskich armat na dziedzińcu w Addis Abebie.



Na dziedzińcu przed pałacem cesarza Abisynji w Addis Abebie stoi 17 armat włoskich, które zostały zdobyte przez Abisyńczyków przed 40 laty pod Aduą, gdzie ponieśli Włosi sromotną klęskę.

Kaśka Myrdalonka gada:



Ze tyz jako zmora nie zadusi tego pokrakę, Maćka, za to scekanie na baby, jak i tych jego kolezków, gdzieś jaz z pod Rzesowa. Ale cekojcie! jesce przyjdzie na psa zima. Bedziecie prosić nas o łaskę, ale juz kaput z wami wtedy. Jak sie wam zachciwa wojny z babami, to dobrze! Ino ze pożałujecie tego, jak juz załuje Maciek.

Ten choroba spenetrował, ze ja zabiram się pisać do „Roli", to rozdziawił na mnie paję jak piekielne wrota. Ale skocyłam na niego z pazurami, nadarłam mu kłacysków ze łba, zatkałam wiechciem jadackę i wepchłam go do stajni. A teraz bierę sie do pisania i wzywam wszyćkie baby, nie ino w Psiej Wólce ale na całym świecie, coby tworzyły harmiję ochotnicą z bab.

Musiwa się stawić śtorcem do chłopów, bo inacy to źle będzie z nami. Selentanie się kole nich sprawy nam nie polepsy, ino jesce bardzi zaostrzy konflikt, bo to z chłopami nie poradzi ani w ten, ani w insy sposób, ino z góry z pazurami do nich, a zaraz zmięknie takiemu trąba.

Wkiejsik nabajcył na mnie i na nasą gospodynię przed gospodarzem, ten jancykrys Maciek, ze jaz okropa. Zrobiło sie w chałpie strasne piekło, bo gospodarz huzia na gospodynią, a ja pozarłam sie z Maćkiem.

— Kaśka! — padają gospodyni — zebyś sie mi nie wazyła nic gotować. Niech choroby pozdychają z głodu.

Pokazało się, ze chłop przez baby nie obejdzie się ani jednygo dnia. Chodzili gospodarz smutni i co godzinke przyciągali pasek na bajdziochu. A ten pokraka Maciek z głodu wyzarł z korytka zimniocki com miała stłucone ze sieckom dla świni. My zaś wsuwałyświa z gospodyniom chlebuś z masłem i spyrką i b da nic nam nie zrobiła.

Juz drugiego dnia nasego śtrajku gospodarz rymnęli do kolan gospodyni i potyl prosili o przebacenie, az zmiękli gospodyni. Ale ja nie dałam sie przeprosić temu pokrace, chociaz łaził za mną jak to cielę i skamloł o litość.

— A widzis ufermo! — padają gospodyni. — Nawarzyłeś se piwa, to se go teraz wypij!

Maćkowi puściły się śluzy ze ślipiów:

— Moja złociutko Kasiuniu daruj mi wszyćko — sklamżył. — Juz ani w „Roli", ani nikaj nie pisnę słówecka na baby i ciebie. Przyniósł mi ze studni wody, drzewa ze sopy, naskrobał zimniacków i prosił zeby gotować zyrkę. A nawet nacynie obiecał mi umyć.

— Rób za mnie pokrako! — myślę se. Ale ci za nic nie daruję.

Jak się ino baby i dzieuchy zwiedziały, ze chcę zrobić wojsko z bab i zrobić rabację na chłopów, tak sie wszyćkie zgichły do mnie z nasy wsi i innych wsiów i zaceny mnie molestować, zebym się zgodziła na to, jak one mnie obierą jednerałką, bo chcą zrobić strasecną wojnę z chłopami, pod moim kieronkiem.

— Dobrze! — padam — musicie się postarać o postronki, bo przecie zaden chłop nie pójdzie dobrowolnie do nasej niewoli, ino trza ich prowadzić na powrózku jak wieprzoski.

W tamtą niedziele odbyła się narada wojenna w kumorze u Siurkowy; uradziłyświa, ze kuzda baba cy dzieucha musi zabrać ze sobą ozóg, albo zarnówkę od młynka, cy pogrzybac dla obrony, moze być i miotła.

Wcora padają do mnie gospodyni:

— Wszyćko dobrze! ale ty przecie nie mozes iść na piechty jako dowódcyni harmije: śkapy nikt ci nie pożycy, to mozebyś siadła na nasego bycka?

— Niech będzie i bycek! — padam.

— Hej, mój Boze! Co to będzie za cudaśna kumedyja! jak ja na przedzie pojadę se na bycku, z horągiewką zrobioną z kraciastej chustki. Gdy krasy zadrze ogon do góry jak kitę i rusy z kopyta, a za mną cało nieprzelicona harmjo babsko z ozogami, miotłami i co ta który wpadnie w łapy.

Najprzódy zrobiwa rabację na chłopów w nasy Psi Wólce, potem pudziewa dalej.

Juz i o tym radziłyświa co się zrobi z chłopami, bo przecie tego gadziajstwa będzie miljony, zabranego w niewolę w casie nesej ofenzywy.

Jedne baby dopominały się powiesenio ich rodzonych chłopów, inse jesce gorsej dla nich śmierci, ale pomyślonek nasy gospodyni najlepi mi się udał. Bo jezeli — padają gospodyni — Maciek chciałby babskiej skóry uzyć do wyrobu różnych rzecy, to przecie chłopska skóra byłaby jesce lepsa. Mogłaby być na pokryąie namiotów do habisyńskiego wojska. A z bajdziocha Maćkowego skóra w sam raz byłaby na bęben dla habisyńskiej muzyki.

Zaś ja myślę jesce inacy. Jak juz zbierzewa to chłopskie tałatajstwo, tak się podzieli na różne gatonki. Takich, co to biją swoje baby, zamknie się do żelaznej klatki, jako drapieznych tygrysów. Zaś pijokom, co to chlają gorzołkę, będzie się gotować zyrę na cystym spirytusie, zamiast w wodzie. Zeby się juz raz nazarli tych zatraconych śmierdzących tronków. Młodych źrebcoków, co to wiecorami chodzą kupami, śpiwają i dzieuchy i baby napastują po nocy, zaprzągnie się do pługa cy woza, zeby nam słuzyli za konie, abo wołki przy gospodarstwie.

Zaś wszyćkim starym kawalirom jak Maciek, co to ino zwodzą dzieuchy, a zenić sie śniemi nie chcą, ale ślipiami świdrują za innemi jesce, kazałabym przyprawić ogony ze starych miotłów, na wiecną pamiątkę za uwodzenie dzieuch. Przeznacyłoby się ich na pastyrzów do świni.

I byłby wreście porządek na świecie i spokój w chałupie przez chłopów. Bo nic to gadziajstwo nie robi w chałpie, ino kole pieca smyksi, do garcków zaglągda i patrzy ino wyzryć z trzopów, jak se baba co lepsego upitrasi. A co sie rusy, to zaniecysco powietrze, ze ciężko wytrzymać w chałpie.

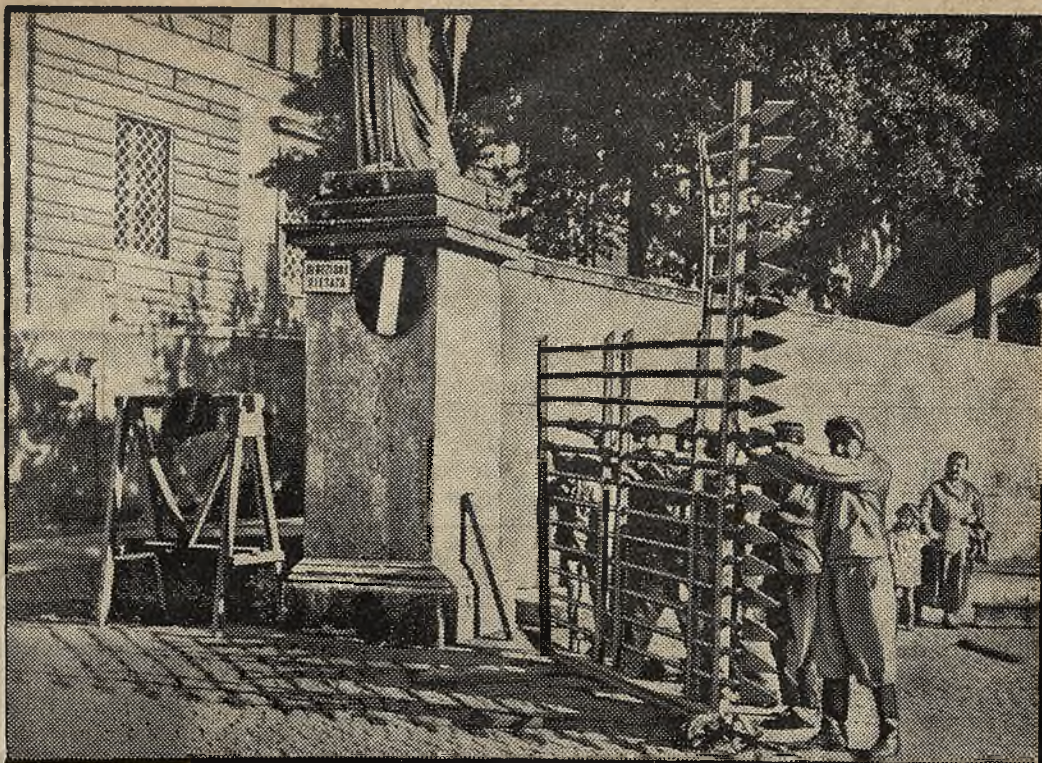
Kończąc to moje pisanie, wzywam was wszyćkie dzieuchy i baby do rabacyji na chłopów na ostatniego grudnia.

Niech zyje babsko z chłopami wojna!

Włochy walczą

przeciw sankcjom.

W odpowiedzi na zastosowanie bojkotu gospodarczego przez państwa należące do Ligi Narodów, we Włoszech przeprowadza się zbiórkę złota, kosztowności i żelaza. W Medjolanie zebrano dotąd 300 kilogramów złota. Organizacje kombatanckie wezwały swych członków do złożenia na skarb medali sojuszniczych, ponieważ utraciły one znaczenie symbolu solidarności sprzymierzonych z czasów wielkiej wojny. Na zdjęciu widzimy jak młodzież usuwa żelazną bramę w parku w Rzymie. Przetopione żelazo ma być zużytkowane na cele wojenne.



Jak Święty Mikołaj wysłuchał gospodarza Mikołaja.

(Zdarzenie prawdziwe).

Skoro tylko pod wieczór zmroczyło się dobrze na dworze, wyszedł z chałupy Mikołaj Kąkol, gospodarz na paru morgach we wsi Lipowicach, i z workiem przewieszonym przez ramię, wolnym, ostrożnym krokiem podążył w stronę pola najbliższego swego sąsiada. Był nim Błażej Drobniak, który jeden jedyny we wsi całej powziął myśl szczególną obsiać marchwią spory łanek pola.

— I człowiek będzie miał zjeść i dla bydlęcia dobra przyprawa paszy, a do reszty rozsprzedam po parę korcy po wsi, to nawet trochę grosza zbiorę — tak myślał Błażej, obsiewając pole i marchew swoją obrobił starannie, oplewił, oborał, toteż udała się.

Gruba jak pięść, jakby się w grzędach zmieścić nie mogła, wysterczała ponad rolę, nęcąc różowemi i żółtawemi główkami dzieci, a nawet starszych ze wsi całej. I byliby już dawno rozdrapali łanek cały, boć to, prawdę powiedziawszy, nie bardzo się u nas cudze szanuje, ale Błażej pilnował swej marchwi, jak oka w głowie. Od rana do wieczora dziewucha ciągle w marchwi siedziała, a w nocy sam Błażej pilnował, nocując w budce pokrytej słomą, którą na ten cel umyślnie wystawił.

Dzisiaj jednak wyjątkowo nie będzie go ani w polu, ani w domu. Wczesnym rankiem wyszedł z żoną do miasteczka na sprawę do sądu, a później taki czy siaki był obrót sprawy, pewnikiem zabawił się w karczmisku, gdzie i o marchwi zapomniał. Wprawdzie we dnie dziewczyna pilnowała marchwi, ale pod wieczór musiała zejść z pola do chaty krowy doić i rodzicom wieczerzę ugotować, i marchew była bez stróża.

Wiedział o tem Mikołaj, który od dawna strawić nie mógł, że, będąc najbliższym sąsiadem Błażeja, jego marchwi dotąd nie skosztował.

— Najprzód to Boskie, a potem dopiero Błażejowe. Gdyby Pan Bóg chciał, toby marchew przepadła i ani ludzie, ani Błażej nie miałby z niej pożytku. Ale skoro z woli Bożej urodziła się taka piękna i Błażej będzie jej miał po uszy, to nic nie szkodzi, że i drudzy zakosztują smakowitej jarzyny! — Tak rozumował Mikołaj i za grzech nie miał sobie wcale, jak złodziej po cudzą własność po nocy się skrada.

Chyłkiem przesuwał się koło płotu, do którego przypierały tyły stodółek i zabudowań i powtarzał za każdym szmerem, który go trwogą przejmował:

— Święty Mikołaju, patronie mój, broń mię!

I zdało mu się, że święty Mikołaj rzeczywiście go broni, bo mu wszystko szło, jak z płatka. Nawet czujny pies Błażeja skrył się gdzieś i nie zaszczekał ani razu, co mogłoby wywołać kogo z chaty.

Spokojnie narwał marchwi, naładował worek, a przyklęknąwszy zarzucił go na plecy i sapiąc pod znacznym ciężarem, zwrócił się ku domowi.

Właśnie płot się skończył i Mikołaj miał skręcić na drogę, środkiem wsi prowadzącą, gdy tuż naprzeciw ujrzał kumoskę, Walkową. Na ten niespodziewany widok struchlał chłop i włosy dębem mu stanęły na głowie. Nie przygotował się na odpowiedź w razie nieprzewidzianego zapytania i nie wiedząc, co robić, powtarzał półgłosem tak, że aż komoska słyszała:

— Święty Mikołaju, broń mnie!

Na złodzieju czapka gore! Mikołaj myślał, że kumoska nawet przez worek marchew zobaczy, ale kobieta, nie przypuszczając nic złego, spytała:

— To wy już, kumie, otrzęśliście waszą gruszę?

Mikołaj odetchnął. Pewnym był, że to święty Mikołaj natchnął Walkową tą szczęśliwą myślą i odrzekł:

— Juścić tak, miały dzieciska obedrzeć, tom się wolał wcześniej uprzątnąć!

Kobieta, powiedziawszy coś jeszcze, odeszła, a Mikołaj już bez żadnych przeszkód stanął wkrótce przed swojem domostwem. Jak tylko znalazł się na podwórku i małą bramkę drewnianą zamknął za sobą, uszczęśliwiony i pewny siebie zawołał głośno:

— A teraz, święty Mikołaju, chcesz, to mnie

broń, a chcesz, to nie broń, bo na swoich śmieciach niczego się już nie boję i marchew moja!

Z temi słowy wszedł do izby, jasno oświetlonej i worek z trjumfem rzucił przez żonę na ziemię, aż się marchew po izbie rozsypała.

W tej chwili rzucił wzrokiem na przeciwległy kąt izby i nogi ugięły się przed nim. Na ławie w kącie ujrzał siedzącego sąsiada Błażeja. Zrazu myślał, że to czary, że mu złe oczy przesłania; ale nie, to rzeczywistość. Błażej powrócił z miasta i uszczęśliwiony, że sprawę wygrał, wstąpił po drodze do sąsiada pochwalić się ze swem powodzeniem.

Łatwo wyobrazić sobie, co się teraz stało.

Błażej, ujrzawszy na ziemi swoją marchew tak wypielęgnowaną, jak pantera rzucił się na Mikołaja.

— A łotrze, a złodzieju! toś ty taki sąsiad, taki gospodarz? Jeden dzień mnie nie stało, a ty zaraz moją marchew kraść mi poszedłeś! — Tak wołał rozgniewany Błażej, który też Mikołajowi nie żałował szturchańców. Mikołaj, ogłuszony tem wszystkiem, nie bronił się wcale i z pokorą poddając się kułakom sąsiada, płaczliwym głosem narzekał:

— O święty Mikołaju, dworowałem ja z Ciebie i teraz spotkała mnie zasłużona kara!

Byłoby się na biciu nie skończyło, bo chciwy zemsty Błażej chciał pretensje swoje przed sąd wnosić, ale wdał się w to ksiądz proboszcz i sprawę załagodził. Musiał tylko Mikołaj przeprosić Błażeja i na swych barkach odnieść mu skradzioną marchew.

Rzecz ta rozeszła się nietylko w Lipowicach, ale i w całej parafji. Jeden przed drugim opowiadał ucieszną historyjkę, jak to Mikołaja złapało z kradzioną marchwią właśnie wtedy, kiedy już we własnym domu tak buńczucznie wzgardził obroną swego św. patrona. Biedny chłop za swoje łakomstwo był przedmiotem śmiechu i drwinek długi czas.

MARJA GRODZICKA.

Drugie zaręczyny.

(Ciąg dalszy). Powieść z życia wsi. (Przedruk wzbroniony).

Jesteśmy gospodarzami u siebie o równych prawach i obowiązkach względem matki Ojczyzny.

Jako dzieci jednej matki, mamy się kochać — a w razie potrzeby wzajemnie wspomagać. Niechaj znikną partyjne waśnie i stanowe uprzedzenia. — Osoby lepiej uposażone materjalnie, niech nie zadzierają głów do góry, gardząc biedniejszymi od siebie, gdyż to świadczy najlepiej o braku w ich duszach prawdziwej kultury.

Taki biedak żyjący uczciwie, pracujący ciężko na wyżywienie rodziny i siebie, wart jest wiele więcej od niejednego, który marnuje czas i traci pieniądze na hulankach.

Zaś wy, klasa robotnicza, nie odnoście się z zazdrością i nienawiścią do osób lepiej od was sytuowanych. Gdyż wielu z was żyjąc umiarkowanie, mogłoby się z czasem dorobić choćby skromnego mienia gdybyście ciężko zapracowanego grosza nie przepijali w szynku. Taki Moszek, czy Berek dorabia się wkrótce na waszej krwawicy, kupuje majątek i pluje z pogardą na głupich gojów, co pieniądze tracą w szynku na wódkę.

Obowiązkiem waszym ojcowie i matki wychować dzieci tak, by wyrosły Bogu na chwałę — a Ojczyźnie na chlubę. Pamiętajcie o tem, że umysł dziecka jest tak podatny, jak wosk w rękach artysty rzeźbiarza, który, według swej woli, może stworzyć prawdziwe arcydzieło, albo też wstrętną karykaturę, budzącą odrazę. Pamiętajcie sobie o tem, że musicie kiedyś zdać rachunek przed Bogiem.

Kto nie pełni dobrze, przyjętych na siebie obowiązków, kto przez hańbiące czyny przynosi wstyd i szkodę krajowi, jest jak ten ropiejący wrzód na ciele społeczeństwa, taki jest przeklęty!"

Z prawej strony trybuny, gdzie na krzesłach siedzieli; a to hrabia Czański z Leną i kilka osób z gości, odezwały się oklaski. To baronostwo Olszańscy pierwsi zaczęli bić brawo, a za ich przykładem poszli inni słuchacze.

— A to mi smyk! — rzekł baron Olszański, klepiąc Tadeusza po ramieniu — wypalił sobie mówkę, niczem marszałek Sejmu.

— Świetnie poszło wszystko! — odezwał się hrabia, gładząc w zadowoleniu długą białą brodę.

XXXVIII.

Według życzenia hrabiego ślub młodej pary miał się odbyć w pierwszych dniach lipca, poczem mieli wyjechać na parę tygodni w góry, na wypoczynek!

Wyprawę ślubną poleciła pani Kleszczeńska do szycia i haftu zakonnicom, zaś nad sukniami pracowały pierwszorzędne krawcowe, wezwane do Czaniec. Cały pałac postanowił hrabia odnowić, aby odświeżyć zniszczone czasem, śliczne malowidła i freski. — Przez parę tygodni pracowali kaflarze, stolarze, malarze, lakiernicy, tapicerzy - dekoracyjni. Hrabia osobiście doglądał pracy, gdyż Tadeusz zajęty zarządem całego majątku, nie wiele miał wolnego czasu.

Pomimo nawału pracy, czuł się jednak nad wyraz szczęśliwy i zadowolony. Całemi dniami jeździł, doglądał gospodarstwa na innych folwarkach, nie spuszczając się na rządców. Wieczorami ślęczał do późna w kancelarji nad wpisywaniem do ksiąg gospodarczych raportów. Zaledwo w niedzielę miał czas, a zapraszany przez hrabiego, szedł do pałacu na obiad, gdzie zabawił do wieczora, czy to na spacerze z paniami po parku, czy oglądaniu z hrabią postępu w pracy, nad odnowieniem pałacu. — Poczem pożegnawszy się, wracał do siebie, aby się nie pokazać w pałacu aż znów w niedzielę. I chociaż rwało mu się serce do ukochanej narzeczonej, to jednak oddany całą duszą pracy, nie miał czasu, by się częściej z nią widzieć. Gdy po ślubie będziemy razem — mawiał do ukochanej — wówczas... moje śliczności będę pieścił i na rękach nosił. Mawiał do niej, całując jej drobną rączkę i patrząc z miłością w jej oczy...

Było już z końcem czerwca; robotnicy ukończywszy pracę nad odnowieniem pałacu, szykowali się do opuszczenia Czaniec, zarobiwszy ładną sumkę grosiwa. Poczęto już myśleć o przygotowaniach do wesela.

Pani Kleszczeńska z Jadzią jeździły często do Warszawy w celu załatwienia ostatnich zakupów przedślubnych. I Tadeusz w tym celu musiał wyjechać parę razy do stolicy, czyniąc uzupełnienia swej męskiej wyprawy. Ostatnio wybrali się wszyscy razem. Hrabia powrócił zaraz, zaś pani Lena z Jadzią i Tadeuszem zmuszeni byli zatrzymać się do jutra. Tadeusz jak zwykle, mając dużo pracy w kancelarji, wyszedłszy z auta, pożegnał się z paniami i prosto poszedł do swego mieszkania. — Zaledwo zdążył rozebrać się z podróży, gdy do pokoju wszedł lokaj mówiąc, że pan hrabia wzywa go do siebie zaraz. Zastał hrabiego siedzącego przy biurku z listem

w ręce. Na twarzy starca widać było wielkie zdenerwowanie. Skinął na Tadeusza, wskazując mu krzesło, by usiadł, poczem wręczył mu list, ze słowami: dostałem go, od Ścibora.

Tadeusz przebiegał oczyma koślawe pismo, a twarz jego raz była blada jak papier, to znowu czerwona jak krew. Wreszcie położył nieszczęsny list na biurku, wstał i chciał się z hrabią pożegnać i wyjść. Zatrzymał go jednak hrabia pytając:

— No! I co pan nato powie? To bezczelność, która przechodzi wszelk e granice! Moje kuzynki, które mu nic nie zawiniły tak lżyć i poniewierać? Jak ten drab śmie do mnie listy takie posyłać? Czy która z nich winną jest, że on siedzi w kryminale?

Tadeusz stojąc, słuchał jak winowajca; drżąc na całem ciele z wielkiego wzburzenia nerwów.

— Panie hrabio! Ten człowiek nie da mi żyć! Nic mu i ja nie jestem winien! A jednak nie mam od niego nigdzie spokoju. Nie przeżyłbym swej hańby, jak również obelg, skierowanych do pani Kleszczeńskiej i mojej narzeczonej. Niech śmierć moja okupi ich niezasłużone obelgi, a mojem udrękom położy kres.

Chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju.

Hrabia chciał go zatrzymać, ale Tadeusz, nie dbając na słowa hrabiego, nie zatrzymał się nawet.

Przestraszony hrabia obawiając się o życie Tadeusza, wezwał natychmiast do siebie siostrzenicę, polecając jej natychmiast biegnąć do mieszkania dyrektora.

— Co się stało wujciu?

— Biegnij zaraz! — rzekł blady z przestrachu hrabia, gdyż niema chwili do stracenia, potem, dowiesz się o wszystkiem, ja również idę tam.

Pani Lena zarzuciwszy szal na ramiona wybiegła, potykając się po drodze, gdyż już ciemno było na dworze. Jednem tchem przebiegła przestrzeń dzielącą pałac od oficyny. Wbiegła po schodach i, jak bomba, bez pukania weszła do pierwszego pokoju. Cisza, weszła do drugiego, niema nikogo, zakręciła kontakt, zabłysło światło, pokój pusty; strach ją przejął. Wtem w trzecim pokoju posłyszała szelest. W jednej sekundzie znalazła się przy drzwiach, pchnęła je. Wtem suchy trzask! i z okrzykiem: Jezus, Marja! rzuciła się ku słaniającemu się Tadeuszowi, który w ręce trzymał rewolwer. Wyrwała mu zabójczą broń i rzuciła przez okno na pole.

— Panie Tadeuszu! Na miłość Boską! co pan robi?

— Nic! nic! Pozwólcie mi umrzeć!

— Matko Boska! ratuj! — zawołała pani Lena z płaczem, szukając po ciemku kontaktu od e ektryki.

— Nie przypuszczałam, że pan zdolny będzie zrobić takie głupstwo.

Wszedł hrabia, a słysząc lament siostrzenicy, zapytał:

— Więc nie zdążyłaś mu przeszkodzić? A to raptus!

Zbliżył się do Tadeusza siedzącego na krześle z przymkniętemi oczyma. Z piersi sączyła mu się struga ciepłej krwi.

Wezwano służbę z pałacu, starano się zatrzymać uchodzącą krew. Rannego rozebrano, i ułożono na otomanie. Hrabia zatelefonował po dwóch zdolnych lekarzy.

Wieść o postrzeleniu się dyrektora obiegła lotem błyskawicy cały dwór i Czańce. Wszyscy żałowali lubianego przez wszystkich dyrektora, robiąc przytem, najrozmaitsze przypuszczenia co do powodów targnięcia się dyrektora na swe życie.

Jadzia, czując się trochę zmęczoną z podróży, i słabą, położyła się wcześnie do łóżka tego wieczoru i zasnęła. Dlatego też nie wiedziała nic, co się stało.

Po upływie dopiero trzech godzin przyjechali dwaj doktorzy, zbadali nieprzytomnego Tadeusza i zabrali się zaraz do wyjęcia kuli z piersi.

Hrabia siedział blady jak trup na krześle obok rannego, wyrzucając sobie w duszy, że wezwał do siebie Tadeusza. Czynił siebie winnym na równi ze Ściborem, tragedji Tadeusza.

Pani Lena trzymając w ręce znaleziony na biurku pożegnalny list przyszłego zięcia, łkała spazmatycznie. Z paru na prędce skreślonych słów domyśliła się, że bezpośrednim sprawcą nieszczęścia jest nie kto inny, tylko Ścibor.

Po przeprowadzeniu operacji lekarze orzekli, że o ile, nie nastąpią jakieś niekorzystne komplikacje w pierwszych dniach, chory może przyjść do zdrowia.

— Panowie doktorzy! błagał hrabia — starajcie się uratować barona Olszańskiego! Co zaś do kosztów, ja pokryję wszystkie z własnej kasy.

Na rozkaz hrabiego czterech lokaji przeniosło na otomanie złożonego Tadeusza do pałacu. Aby miał ciszę, której by nie miał w oficynie, gdzie z podwórza dochodziły krzyki i hałasy służby i zatrzymał na noc przy chorym jednego z lekarzy. Rano miała przyjechać pielęgniarka.

Jadzię tej nocy trapiły jakieś koszmarne sny... Przechodziła z Tadeuszem przez głęboką mętną wodę i w jednej chwili Tadzik począł tonąć, woda zakryła go zupełnie. Zaledwo rękę było widać sterczącą nad mętną tonią. Jadzia stara się dosięgnąć jego ręki, by go wyratować i krzyczy, co ma siły o ratunek dla narzeczonego. Lecz nikt nie słyszy jej wołania. Trzyma dalej rękę tonącego, ale niema siły wyciągnąć go na brzeg. Wtem widzi starego Ścibora, który patrzy się obojętnie na jej mocowanie się, by wyratować z wody Tadeusza. „Czy pan będzie obojętnie patrzył na śmierć syna?“ — woła na Scibora – i wtem zbudziła się

Ach Boże! co za potworny sen! Czuła, że ma mokre czoło! a to się namęczyłam, aż mam krople potu na czole. Obtarła się chusteczką. Ponieważ było za wcześnie wstawać, przeto obróciwszy się na drugi bok, chciała jeszcze zasnąć, lecz czegoś nie mogła. Przyszło jej na myśl to i owo. A zwłaszcza bliski termin ślubu. Za parę dni, zostanie już żoną Tadzika. Dziwne uczucie zawładnęło jej jestestwem. Wszak za parę dni rozpocznie się dla niej nowe życie, życie pod jednem dachem, przy boku ukochanego Tadzika. Najpierw ślub, po ślubie życzenia składać będą, zaproszeni goście, zabawa i wyjazd... do Zakopanego na parę tygodni. Tadzik musi sobie trochę odpocząć. Potem powrócą do Czaniec i zamieszkają w prawem skrzydle pałacu...

Spojrzała na zegar, dochodziła siódma. Czas wstawać i wesoła jak ptaszę na wiosnę, wyskoczyła z łóżka. Zarzuciła na siebie szlafroczek, wsunęła na nogi pantofelki i pobiegła do łazienki, obmyć się.

— Coś widzę, — Bronia dzisiaj smutna! — zagadnęła pannę służącą, gdy ta weszła do jej buduaru, aby uczesać panienkę.

— Czy Bronia ma jakieś zmartwienie? — zapytała patrząc dziewczynie w oczy.

— Jakto! — Jaśnie panienka nic jeszcze nie wie?

— Jadzia zrobiła wielkie oczy.

— Nic nie wiem! — czy może Bronię spotkało jakie nieszczęście? Proszę mi powiedzieć!

Wtem do pokoju weszła pani Lena, ubrana już, mimo wczesnej godziny. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

— Ubieraj się dziecko! — wiesz, że mamy zejść do kaplicy na Mszę świętą.

– Broniu! zaczesz prędko panienkę.

Jadzia usiadła na taborecie przed lustrem, a Bronia — rozczesywała jej długie, złociste włosy.

— Mamusiu! zapomniałam ucałować mamusię, na dzień dobry i spojrzała bacznie w oczy matki.

— Jak widzę, to mamusia płakała? Cóż to się dzisiaj stało? Bronia smutna i mamusia płacze?

— Czy stało się jakie nieszczęście? — a może dziadziu zasłabł? – zapytała, patrząc na matkę.

— Nie, dziadziu, dziecinko! ale Tadeusz jest ciężko chory. Trzeba nam prosić Boga, o zdrowie dla niego.

— Co się stało? — zapytała Jadzia, blednąc, — wczoraj jeszcze był zdrów i wesoły. O o o! Boże! biedny Tadzik! Muszę iść do niego zaraz! Biedny Tadzik!

— Teraz iść do niego nie można, drogie dziecko! jest przy niem lekarz. Najpierw pójdziemy, by się pomodlić za Tadeusza, by mu Ojciec Niebieski pozwolił powrócić jeszcze do zdrowia. Jadzia ubierała się z wielkim pośpiechem, bladość pokryła jej twarzyczkę, serce tłukło się jej w piersi, a usta drżały. Widać było, że gwałtem wstrzymuje płacz. Gdy schodziły na dół, zapytała:

— Proszę powiedzieć, mamusiu, co się stało? dlaczego Tadzik zachorował tak nagle?

— Wszystkiemu winien jest Ścibor! Przysłał do dziadka list. Tu pani Kleszczeńska opowiedziała idąc, powód tragedji Tadeusza...

Półmrok: Opuszczone w oknach żaluzje. Na mahoniowem łóżku leży nieprzytomny Tadeusz: na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że to już nieboszczyk. Twarz trupio-blada, oczy wpadły w głowę, tylko od czasu do czasu wargi, spieczone i sine, poruszą się, — gdy w gorączce wymawiają imię ukochanej. W drugim obok pokoju, lekarz rozmawia z hrabią. Co pewien czas przychodzi do chorego, bada puls, pokiwa głową, poleci pielęgniarce wpuścić do ust chorego parę kropel lekarstwa i idzie prowadzić dalej rozpoczętą rozmowę.

— No, i jak tam? — pyta hrabia.

— W Bogu tylko nadzieja! — odpowiada doktór, rozkładając bezradnie ręce. — Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, panie hrabio! reszta zależy od Boga.

Hrabia ze smutkiem opuścił głowę, dłuższą chwilę milczał, wreszcie obtarł przemocą cisnące się do oczu łzy i rzekł ze smutkiem:

— Panie doktorze! ja wolałbym stracić połowę mego majątku, aniżeli tego człowieka. To jest moja prawa ręka. Niechże Bóg zachowa, by on miał skończyć teraz życie. Ja nie przebolałbym jego śmierci, tembardziej, że poniekąd ja jestem temu winien.

— Bóg łaskaw! panie hrabio. Nie trzeba tracić nadziei.

Wtem do pokuju weszły pani Lena z Jadzią.

— Panie doktorze! Czy można wejść do pokoju chorego? — zapytała pani Lena.

— Nie odmawiam łaskawym paniom, ale proszę zachować absolutny spokój, gdyż w przeciwnym razie nie biorę odpowiedzialności.

Teraz dopiero doktór przyjrzał się lepiej Jadzi.

— Proszę bardzo! niech panie pozwolą! — powiedział z ukłonem i poprowadził je do pokoju chorego.

Jadzia stanęła przy łóżku ukochanego, nie dając własnym oczom wiary. — Więc to jest Tadzik? Ten chory, z którego, zdaje się, lada chwila życie uleci. Więc to jest jej narzeczony, pełen życia i werwy? Dopiero wczoraj o zmroku żegnał się z nią z uśmiechem na ustach, a dzisiaj? Drżącą rękę położyła na jego rozpalonem czole.

— Tadziku! coś ty zrobił! — szeptała zbielałemi usty. Chory poruszył się i jęknął boleśnie. Jadzi ścisnęło się serce, zachwiała się na nogach. Byłaby upadła, na posadzkę, gdyby nie silne ramiona doktora, który, prawie przemocą, wyprowadził Jadzię z pokoju.

— Nie trzeba się przejmować panienko, gdyż panu baronowi nie grozi niebezpieczeństwo życia — starał się pocieszyć napółmartwą Jadzię. — Za parę dni, będzie pan baron zdrów jak ryba!

Ale Jadzia nie wierzyła słowom doktora, wybiegła z pokoju, a usiadłszy w małem saloniku, długo płakała. Śniadania nie tknęła. Postanowiła sobie, że będzie się starała zapanować nad sobą, ale przy Tadziku być musi! Usiądzie przy jego łóżku i będzie czuwać... Cokolwiek Bóg da, ona go nie opuści...

Nie zważając na uwagi matki i dziadka, siedziała przy chorym dzień i noc, wpatrując się szklistemi oczyma, w postać ukochanego. Z bólem w sercu słuchała jęków rannego. Zaledwo na krótki czas, znużona czuwaniem, kładła się na spoczynek. Nic dziwnego, że po paru dniach udręki i nie przespanych nocy z pięknej i pełnej życia Jadzi pozostał zaledwo cień. Widząc to pani Lena, miała poważne obawy o zdrowie jedynaczki.

— Moje drogie dziecko! — powiedziała, gdy Jadzia osłabiona szła, ledwo trzymając się na nogach, by chwilę wypocząć — tak być nie może! Jeżeli już chcesz koniecznie być przy Tadeuszu, to ja ci nie wzbraniam! możesz się podzielać z pielęgniarką. Raz ona, raz ty! ale tak bez przerwy — to niemożliwe! Przejrzyj się w lustrze, jak ty wyglądasz dziecinko. — Nic nie lepiej od Tadeusza.

. . . .

Pewnego ranka, po parogodzinnem wypoczynku weszła Jadzia do pokoju chorego, aby zastąpić na parę godzin, czuwającą przez całą noc, pielęgniarkę.

Tadeusz spał. Jadzia zbliżyła się, badając oddech chorego. Spał twardo, oddech jego był więcej miarowy.

Znużona pielęgniarka wyszła, aby się nieco przespać. Jadzia uchyliła okno, aby wpuścić do pokoju świeżego, rannego powietrza. Dzień był śliczny, bez jednej chmurki na niebie. Z parku dochodził śpiew ptactwa, gdy nagle przypomniała sobie, że dzień dzisiejszy miał być dniem jej ślubu z Tadzikiem.

Łzy zabłysły jej w oczach, usiadła pod oknem i oddała się smutnym myślom o zmienności losu i o krótko trwającem ich szczęściu... Jeszcze tydzień temu snuli z Tadzikiem plany na przyszłość, byli pełni życia i różowych nadziei. Zaledwo tydzień temu Tadeusz był zdrowy, czuł się zadowolony z życia, szczęśliwy, uśmiechnięty... Ach jakże niespodziewanie radość, zamieniła się w smutek. Za parę dni... Tadzik leży bezprzytomny, ciężko chory, pomiędzy życiem a śmiercią... Łzy zabłysły jej w oczach. Wstała z krzesła i cicho na palcach podeszła do łóżka.

— Tadziku! Tadziku! — szeptały jej wargi. Oparła się o wezgłowie łóżka i z bólem w sercu patrzyła na wychudłą i bladą twarz ukochanego, a stojąc tak chwilę, wpatrywała się w twarz Tadzika. Wtem spostrzegła, że chory poruszył się nieco i otwarł oczy. Pochyliła się nad niem i zajrzała mu w oczy.

— Jadziuchno! jesteś tutaj przy mnie! – odezwał się cicho.

– Tak! jestem przy tobie, Tadziku!

— Bogu dzięki! że odzyskałeś przytomność — powiedziała z uśmiechem, mając łzy radości w oczach. Zaraz dam znać mamusi i dziaduniowi.

I kierowała się już do drzwi, by dać znać przez lokaja o radosnej nowinie.

— Jadziuchno! — zawołał Tadeusz słabem głosem. Zawróciła z powrotem ku niemu.

— Co powiesz, Tadziku! — może chciałbyś się coś napić?

Wzięła szklankę lemoniady ze stoliczka i łyżeczką podawała mu do ust.

— Jadziuśko, gdzie ja jestem? — zapytał wpatrując się w twarzyczkę ukochanej.

— Jesteś w pałacu Tadziku! — dziadziu kazał Cię tutaj przenieść, żebyś miał ciszę i spokój — mówiła czule, gładząc ręką jego ciemne włosy.

— Więc pan hrabia nie gniewa się na mnie? a także Twoja mamusia?

— Ależ Tadziku! jeżeli dziadziu i mamusia mają żal do Ciebie, to jedynie o to, żeś zrobił wielkie głupstwo.

Tadeusz westchnął ciężko, a po chwili zapytał: Długo ja tu leżę?

— Przeszło tydzień, ale teraz już niema obawy, byś nam umarł! — powiedziała, gładząc go ręką, po wychudłej twarzy.

Wybiegła na chwilę, by dać dziadkowi i matce znać o przesileniu się choroby.

Wkrótce zjawił się hrabia:

— No, niedoszły nieboszczyku! — rzekł — siadając przy łóżku, widocznie wola Boska jest, aby pan żył, to Bogu dzięki! ale zastrzegam sobie stanowczo na przyszłość, by się nie powtórzyło coś podobnego! Gdyż życie daje człowiekowi Bóg i Bóg może je tylko odebrać. Pan, jako dobry katolik, powinien świecić wszystkim dobrym przykładem i nie przejmować się do tego stopnia listem człowieka, który przestał już być ojcem pana.

Tadeusz słuchał wyrzutów hrabiego, przyznając mu w duszy słuszność; żałował teraz, że postąpił lekkomyślnie, że w uniesieniu targnął się na swoje życie.

— Panie hrabio! ja nie wiedziałem co robię! Więc proszę mi darować moje szaleństwo...

Hrabia ujął rękę Tadeusza.

— Wszystko ci wybaczam! drogi chłopcze, gdyż cię kocham, jak własnego syna. Jak ojciec bolałem nad twoją tragedją i jak ojciec, cieszę się, że widzę cię przytomnym, po kilkudniowej walce ze śmiercią.

Tadeusz osłabionemi rękami zbliżył rękę hrabiego do spieczonych gorączką warg i ze czcią i wdzięcznością pocałował:

— Panie hrabio! serdecznie dziękuję za wszystko! za tyle dobrego — mówił słabym głosem. — Gdy Bóg pozwoli mi powrócić do zdrowia, będę się starał być dobrym synem i odwdzięczyć za wszystko.

Weszła pani Lena i z radosnym uśmiechem przywitała Tadeusza.

— Modliłam się przed chwilą za pana — powiedziała — ściskając jego wychudłą rękę. — Narobił nam pan tyle zmartwienia i drżeliśmy z obawy o życie pana.

— No, ale Bogu dzięki! minęło niebezpieczeństwo.

Jadzia stała obok łóżka, blada, zmizerowana twarzyczka świadczyła, jak bardzo cierpiała przez te parę dni, ile wylała łez. Teraz z radosnem uśmiechem spoglądała na Tadeusza...

. . . .

Tadeusz powoli; jednak z każdem dniem czuł się lepiej, lekarz co drugi dzień przyjeżdżał, by zmienić opatrunek na gojącej się ranie. W pogodne dnie wynoszono chorego na taras pałacowy, gdyż tęsknił za słońcem i powietrzem. (Dokończenie nastąpi).

Wojna włosko-abisyńska.

Ruchy wojsk włoskich i abisyńskich, jakoteż mniejsze starcia tych wojsk zapowiadają, że w najbliższych dniach dojdzie na wielu odcinkach do większych bitew. Z dnia na dzień wzmagają się też ataki samolotów włoskich, które zrzucają różne pociski nietylko na wojsko, miasta i wsie, ale i szpitale Czerwonego Krzyża.

Zniszczony szpital Czerwonego Krzyża.

Trzy włoskie eskadry lotnicze rzuciły na Czerwony Krzyż w Dessie nietylko bomby eksplodujące i zapalające, lecz i torpedy powietrzne. Lekarze stwierdzają, że pierwsze bomby eksplodujące były rzucane wyłącznie na ambulanse Czerwonego Krzyża, na których emblematy międzynarodowe były wyraźnie widoczne. 5 bomb rzucono wprost na szpital. W szpitalu znajdowało się 65 rannych. Sala operacyjna tego szpitala, jak również dwie sale chorych spłonęły doszczętnie. Pierwsza siostra miłosierdzia Havig jest ciężko ranna. Ambulans polowy Nr 2 oraz namiot chirurgiczny, znajdujący się w odległości 200 metrów od szpitala jest całkowicie zburzony. Lekarze amerykańscy stwierdzają z całym naciskiem, że szpital położony jest poza miastem i oznaczony jest na widocznych miejscach znakami Czerwonego Krzyża. Lekarze ci protestują przed całym światem i zwracają uwagę wszystkich rządów na fakt, że Włosi zrzucili 40 eksplodujących i zapalających bomb na szpital. Wskutek tego okropnego bombardowania zginęło 10 osób, a cały szereg odniosło rany.

Rząd abisyński wystosował do Ligi Narodów protest przeciwko metodom wojny, stosowanem przez Włochy.

Stosunki sanitarne w Abisynji.

Korespondenci, którzy zwiedzali front ogadeński stwierdzają, że Abisyńczycy nie mają tam żadnej służby sanitarnej. Ranni i chorzy umierają z braku pomocy. Rany są często nieopatrywane w ciągu tygodnia. Lazarety w Daggabur i Dzidziga są przepełnione takimi rannymi, których z opóźnieniem przewieziono z frontu.

Patrjotyzm kleru włoskiego.

Biskup Ferentino i znany opat Montecussino złożyli na skarb włoski krzyże napierśne oraz inne kosztowności. Biskup Montecassino wystosował do duchowieństwa swojej djecezji list pasterski, utrzymany w tonie wysoce parjotycznym. Zapominają o tem, że cały świat Włochów uznał za brutalnych napastników i cały świat ich potępia.

Dzień wojny kosztuje 10 miljonów lirów.

Włoska wojenna wyprawa do Abisynji okazała się niezwykle kosztowną. Każdy dzień wojny kosztuje Włochy 10 miljonów lirów, przyczem koszta wzrastają z każdym dniem przedłużającej się wojny. Sztab armji włoskiej w Abisynji wydał okólnik polecający oszczędzać benzynę. Samochody ciężarowe mają być wycofane z użytku, a amunicja i żywność dostarczane będą na linję frontową za pomocą mułów i wielbłądów i w tym celu Włochy zakupiły w Syrji 1.168 wielbłądów, które odtransportowano do Afryki.

KRONIKA.

Od Administracji. Z okazji zbliżania się Nowego Roku prosimy wszystkich naszych Czytelników i przyjaciół o łaskawe rozpowszechnianie „Roli" i jednanie nam nowych prenumeratorów. Nastały wieczory długie, a spędzanie ich przy czytaniu „Roli", chyba przyjemnością jest wielką i pożyteczną. Zatem 12 zł. na całoroczną prenumeratę przy ograniczeniu innych zbytecznych wydatków, jeszcze u wielu rodzin znaleźć się powinno. W prenumeracie rocznej pojedynczy numer wynosi tylko 23 grosze. Przecież „Rola", która ma tak piękny druk, papier, szyta, obcięta, z ilustracjami i bogatą treścią, z kilkoma bardzo zajmującemi powieściami w ciągu roku te 23 grosze przy całorocznej prenumeracie bardzo warta. Mamy nadzieję, że wielu długoletsich Prenumeratorów, Czytelników i Przyjaciół „Roli" przyjdzie nam i w tym roku z tą wielką pomocą w postaci nowego zjednanego prenumeratora.

Pożyczki na spłaty rodzinne małych gospodarstw. Z inicjatywy Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych, przekazana została Państwowemu Bankowi Rolnemu suma 4.000.000 zł., przeznaczona na udzielanie pożyczek, na spłaty rodzinne dla współwłaścicieli i właścicieli małych gospodarstw, celem uchronienia ich od podziału pomiędzy członków rodziny na warsztaty rolne zbyt drobne i nieżywotne, nie mogące wyżywić rodziny — w zasadzie chodzi o gospodarstwa o powierzchni od 5 do 15 ha. Pożyczki udzielane będą od 1.500 złotych wzwyż przy oprocentowaniu na 1 i pół procent rocznie. Poza oprocentowaniem, dłużnicy uiszczać będą w ratach półrocznych odpowiednie kwoty na spłatę kapitału. Oprócz tego jednorazowo przy wypłacie pożyczki będzie z niej potrącony 1 procent na koszty związane z udzieleniem pożyczki. Spłata pożyczek przewidziana jest najdalej w ciągu lat 25-ciu. Pożyczki udzielane będą tylko pod zabezpieczenie hipoteczne. O pożyczki mogą się ubiegać w oddziałach Państwowego Banku Rolnego właściciele gospodarstw, położonych na terenie województw centralnych, południowych i wschodnich. Ze względu na ograniczone środki przeznaczone na akcję kredytową, będą udzielane pożyczki tylko w wypadkach, najbardziej zasługujących na uwzględnienie.

Napad na bank. W mieście Franklin (Ohio) trzej bandyci napadli na tamtejszy bank. Jeden policjant jest ciężko ranny, zaś jeden bandyta poniósł śmierć. Dwaj pozostali zgubili podczas ucieczki zrabowane 700 tysięcy dolarów. Bandyci zmusili dwie kobiety, przejeżdżające samochodem, by wzięły ich do auta i w ten sposób zbiegli.

Ulgi przy wykupnie świadectw. Ninisterstwo skarbu zarządziło, iż podania o ulgi przy nabywaniu świadectw przemysłowych winny być załatwiane stopniowo w miarę ich wpływu do urzędów skarbowych. Pod żadnym pozorem nie należy gromadzić podań i zwlekać z ich załatwieniem. Przy ich rozpatrywaniu mają być wzięte pod uwagę warunki egzystencji przedsiębiorstwa, wysokość osiąganych obrotów, oraz wysokość ciążących na przedsiębiorstwie zaległości podatkowych. — Przedsiębiorstwom uruchomionym w roku 1935 i 1936 mogą być przyznane ulgi w postaci niższej kategorji świadectw, niż to przewidują obowiązujące przepisy.

Hodowla zwierząt futerkowych zwolniona od podatków. Ministerstwo skarbu zarządziło, że fermy hodujące zwierzęta futerkowe jak lisy srebrzyste, nutrje, snopy i norki zwolnione zostały do 31 grudnia 1936 r. od obowiązku płacenia podatku obrotowego oraz wykupienia świadectw przemysłowych. Należy nadmienić, że Centralny Komitet do Spraw Hodowli drobiu zamierza zorganizować w styczniu specjalny kurs hodowli zwierząt futerkowych. Komitet zwrócił się już z odnośnym projektem do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Miejscem kursu byłaby Warszawa, a trwałby on około tygodnia. Obok wykładów teoretycznych, uczestnicy kursu odbywaliby zajęcia praktyczne, jak naprzykład ściąganie skórek, zaprawianie ich do sprzedaży itp., następnie zwiedziłiby warszawskie i okoliczne garbarnie, królikarnie, hodowle dzikich zwierząt futerkowych itp. Urządzenie kursu projektuje Komitet wyłącznie tylko dla instruktorów hodowlanych Izb Rolniczych, hodowców, oraz młodzieży akademickiej, interesującej się temi zagadnieniami.

Projekt amnestji. W ubiegłą sobotę Rada Ministrów uchwaliła dekret w sprawie godzin otwarcia sklepów. W soboty oraz dni przedświąteczne sklepy mają być otwarte do godziny 21 (9 wieczór). Projekt ustawy amnestyjnej dla przestępców politycznych przewiduje: dla skazanych na kary do jednego roku — zwolnienie, dla skazanych na karę więzienia od 1 roku do lat 5 — zmniejszenie kary do połowy, dla mających karę od 5 do 10 lat zmniejszenie kary w 1/3. Więźniom kryminalnym mającym kary do pół roku darowuje się karę, gdy kara wynosi od pół roku do lat 3 następuje jej zmniejszenie do połowy, a w wypadku kary od 3 do 5 lat kara będzie zmniejszona w 1/3 części. Tendencją rządu jest, by sprawa amnestji załatwiona była przed świętami. Projekt amnestji nie obejmuje emigracji politycznej.

Obrady delegatów 5 tysięcy spółdzielni. W ubiegły piątek odbył się w Krakowie pierwszy okręgowy zjazd największej, zjednoczonej organizacji spółdzielczej w Polsce, Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych R. P. Związek ten obejmuje w całej Polsce blisko 5.000 spółdzielni. Wśród Okręgowych Związków największy jest Związek krakowski, obejmujący swą działalnością województwa: Kieleckie, Krakowskie i Śląskie i skupiający na tym terenie 1.116 spółdzielni, w tem 864 spółdzielni oszczędnościowo-pożyczkowych, 155 spółdzielni mleczarskich i 97 spółdzielni rolniczo-handlowych i innych.

Kongres Stronnictwa Ludowego. Na kongres Stronnictwa Ludowego, który odbył się w ubiegłą sobotę w Warszawie, przybyło około 450 delegatów z różnych stron kraju. Przewagę, bo około 40 procent obecnych, mają delegaci z b. Kongresówki, podczas gdy dotąd większość na kongresie Stronnictwa Ludowego miewali delegaci z Małopolski. Przewodniczącym kongresu wybrano Stanisława Thugutta, który wygłosił bardzo ostre przemówienie i podniósł między innemi konieczność przejęcia przez chłopów ziemi darmo. Na kongresie odczytano listy od Wincentego Witosa, Kiernika i Bagińskiego, nadesłane z Czechosłowacji. Referat polityczny wygłosił Maciej Rataj, który oświadczył, że Stronnictwo Ludowe nie pójdzie ani z faszystami ani z masonami, natomiast jest najbliżej robotników i tych wszystkich, którzy walczą przeciwko obecnemu systemowi, żądając demokracji.

Dwie ofiary wybuchu w Mościcach. W Mościcach w czasie przenoszenia szklanego balonu z benzolem, balon został rozbity, a skutkiem bliskości ognia nastąpił wybuch. Dwaj pracownicy państwowej fabryki związków azotowych, St. Padło i St. Daniel

doznali ciężkich poparzeń, a przewiezieni do szpitala powszechnego w Tarnowie, zmarli.

Napad bandytów na plebanję. Niezwykle zuchwałego napadu dokonano na plebanję w Szczepanowie pod Tarnowem. Wieczorem w dniu 1-go bm. na plebanję wpadli dwaj bandyci, uzbrojeni w rewolwery. Proboszcz ks. Jan Wojtanowski siedział przy stole i czytał gazetę, czekając na podanie kolacji. Bandyci rewolwerami sterroryzowali księdza, zabrali mu 500 złotych w gotówce, rewolwer i dwa floberty, poczem nie czyniąc krzywdy księdzu, odeszli spokojnie.

Okradli dyrekcję budowy zapory na Sole. W ciągu nocy ubiegłej nieuchwytni dotąd sprawcy dokonali całego szeregu kradzieży w Porąbce i Kobiernicach. Między innemi włamywacze dostali się do biur przedsiębiorstwa, budującego zaporę wodną na Sole, skąd skradli aparat mierniczy systemu Gerlacha wartości 2.000 zł. oraz kasetę z gotówką przeszło 900 zł.

Budowa wałów przeciwpowodziowych w Nowym Sączu. W ubiegłym tygodniu odbyło się tu zebranie nieruchomości, których realności mieszczą się w dzielnicach miasta położonych nad Dunajcem. Ponieważ prawie corocznie Dunajec dzielnice te zalewa, postanowiono obecnie zabezpieczyć je przed powodzią. Projektowane jest wybudowanie wału ochronnego na przestrzeni 3 klm. W związku z tym projektem zawiązano spółkę wodną, która na cel budowy złożyć ma 100 tysięcy złotych.

Robotnik przysypany kilku tonami ziemi. W czasie prac nad budową zapory wodnej w Rożnowie, wydarzył się onegdaj nieszczęśliwy wypadek. Mianowicie przy robieniu wykopów w górze osunęła się ziemia, przywalając ciężarem kilku ton pracującego tam robotnika Jana Gwoździa. Dzięki natychmiastowej pomocy zdołano Gwoździa odkopać i po zastosowaniu środków ratowniczych, przywrócić do przytomności. Okazało się jednak, że robotnik doznał w czasie wypadku skomplikowanego złamania obu nóg, wobec czego przewieziono go karetką pogotowia do szpitala w Nowym Sączu.

Tajna gorzelnia w kostnicy na cmentarzu. W ostatnich dniach posterunek policji państwowej w Łącku, przy pomocy straży granicznej, zlikwidował tajną gorzelnię, prowadzoną przez miejscowego grabarza, Antoniego Kutwę. Kutwa urządził tajną gorzelnię w kostnicy na cmentarzu, gdzie zarekwirowano większą ilość samogonki i wiele narzędzi do pędzenia wódki.

Bandyci grasują w Jaśle. Czterech zamaskowanych bandytów napadło w śródmieściu w Jaśle na mieszkanie kupca Leiba Künstlera. Napastnicy usiłowali terrorem zmusić domowników do wydania pieniędzy, jednak spłoszeni przez sąsiadów zbiegli, zabrawszy drobną kwotę. Tego samego dnia, również nieznani dotąd sprawcy włamali się do kancelarji gimnazjum męskiego, gdzie rozpruli kasę ogniotrwałą, z której jednak nic zrabować nie zdołali — prawdopodobnie spłoszeni.

Fatalny strzał na wiwat. W Gorlicynie, w powiecie przeworskim, w czasie zabawy weselnej Wł. Wodak, strzelając na wiwat, trafił w skroń swą kuzynkę Wodakównę.

Podpalili kilkaset budynków mieszkalnych. Prokuratorja stanisławowska ukończyła dochodzenia przeciw szajce podpalaczy, na czele której stali bracia Machman, Mozes i Noe Thauowie. Szajka uprawiała swój proceder od roku 1928 do 1934. W tym czasie podpalono kilkaset budynków mieszkalnych, jak zabudowań gospodarskich, will i pensjonatów. W ten sposób podpalacze starali się, jako właściciele składu drzewa budowlanego, o większy zbyt budulca. Po pożarze do pogorzelców zgłaszał się jeden z braci, proponując wybudowanie nowego domu, wzamian za odstąpienie policy asekuracyjnej. Thauowie dorobili się w krótkim czasie wielkiego majątku. Z podpalaczami byli w zmowie: wójt i sekretarz gminy w Osławach Melnyczukowie, ówczesny komendant posterunku Policji Państwowej Grabiak, oraz jeden z adwokatów w Delatynie. Szajka podpalaczy stanie wkrótce przed sądem.

Konni bandyci napadli na pociąg. Terenem sensacyjnego i nieprawdopodobnego wprost napadu bandyckiego, stał się odcinek kolejowy: Miechów-Wolbrom. Kilku zamaskowanych i uzbrojonych w karabiny bandytów dokonało zuchwałego napadu na pociąg Nr. 183, zdążający do Katowic. Bandyci byli na koniach i czatowali na pociąg wzdłuż toru. Gdy pociąg ukazał się, bandyci pędzili równolegle z nim, w pełnym galopie. W pewnym momencie dopadli wagonu bagażowego i zeskakując z koni wprost na stopnie wagonu, bandyci rozbili ścianę przy breku i poczęli wypróżniać naładowane przesyłki. Gdy już piąty z kolei worek, napełniony mąką, został wyrzucony z wagonu, rozległ się gwizdek konduktora i jednocześnie huknął ostrzegawczy strzał. Pociąg zwolnił biegu, a cała obsługa rzuciła się w kierunku zagrożonych wagonów. Rozpoczęła się regularna bitwa. Z obu stron padały bezustanku strzały. Bandyci bronili się blisko godzinę, aż wreszcie, gdy jeden z nich został zabity, rzucili się do ucieczki. Kolejarze nie dali za wygraną i puścili się w pogoń za uciekającą bandą. Bandyci znikli w pobliskim lesie, ostrzeliwując jeszcze obsługę pociągu.

Chciał wytruć całą rodzinę. Z zemsty za wypędzenie z domu, mieszkaniec wsi Chliny, powiatu olkuskiego, niejaki H. Witek, za namową swego przyjaciela M. Nowaka, postanowił wytruć całą swą rodzinę, składającą się z rodziców i trzech braci. Witek korzystając z chwilowej nieobecności domowników, wsypał do naczynia z gotującą się potrawą, trucizny na szczury. Po spożyciu posiłku, rodzice Witka i jego trzej bracia zachorowali z wyraźnemi objawami zatrucia. Wszystkich udało się uratować z wyjątkiem matki sprawcy, Marjanny, która zmarła wśród strasznych boleści. Witka i Nowaka aresztowano.

Znalazł się spadkobierca 600 miljonów zł. Donosiliśmy w swoim czasie o spadku w wysokości 600 miljonów złotych, — po pozostałym niejakim Krzysztofie Schonie w Australji, którego krewni przebywają w Polsce. W tych dniach zgłosił się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych niejaki Gusław Schon, zamieszkały w Kielcach i przedłożył swe pretensje do spadku. Zmarły miljoner ma być jego wujem. Do spadku zgłosiło się dotychczas w Polsce 40 osób.

Groźny pożar w kieleckiem. We wsi Grabowska Wola, gminy Grabów, w zabudowaniach T. Woźniaka wybuchł pożar, który szybko przeniósł się na sąsiednie zabudowania i strawił 7 domów mieszkalnych, kilkanaście stodół ze zbożem i narzędziami rolniczemi. Straty wynoszą około 40.000 zł. W czasie akcji ratunkowej kilka osób doznało dotkliwych poparzeń. Odwieziono je do szpitala.

Niezwykłe wąsy. Posiadaczem niezwykłych wąsów jest małorolny gospodarz we wsi Garnek, powiatu radomszczańskiego, Walenły Stacherski. Wąsy tego wieśniaka mają długość 50 cm. a właściciel pół-

metrowej ozdoby męskiej twarzy radzi sobie w ten sposób, że każdy wąs zakręca wokół głowy.

Proces morderców śp. ministra Pierackiego. W procesie o zabójstwo śp. ministra Pierackiego zaszedł w ubiegłym tygodniu ciekawy szczegół. Mianowicie oskarżony Maluca oświadczył, że chce zeznawać w języku polskim. Toteż rozpoczęło się przesłuchiwanie go. W zeznaniu swem, Maluca potępił organizację ukraińskich nacjonalistów (O.U.N.) oświadczając, że jest szkodliwa, że metody stosowane przez O. U. N. uważa za niewskazane, przedewszystkiem dla dobra narodu, ukraińskiego, ponieważ doprowadziły one do tego, że strzelano nietylko do Polaków, ale również i do swoich ludzi. Tak zastrzelono dyrektora gimnazjum we Lwowie Babija, a ostatnio oskarżony dowiedział się, że zastrzelono Marję Kowalikównę, należącą do organizacji bezpośrednią współpracowniczkę, przez dłuższy okres czasu oskarżonego, który miał o niej jak najlepszą opinję. W fakcie tym oskarżony widzi wskutek tego zaślepienia, w metodach stosowanych tylko dlatego, że jest chwilowy efekt, sprawiający wrażenie bez uwzględnienia i zastanowienia' się, czy przynosi to korzyści społeczeństwu ukraińskiemu wogóle, a tembardziej organizacji O. U. N. — Po zeznaniach Malucy rozpoczęło się dalsze przesłuchiwanie świadków. Wyrok spodziewany jest z końcem grudnia b r.

Granat wybuchł wśród dzieci. W osadzie Stężyce koło Garwolina na dziedziniec szkoły powszechnej przyniósł 12-letni St. Stokłosiński zapalnik od pocisku artyleryjskiego. Gdy chłopcy rzucili zapalnik na ziemię, nastąpił wybuch. Odłamki raniły ciężko chłopca i dwie dziewczynki, z których jedna zmarła.

5 zamaskowanych bandytów zrabowało 12 zł. Do mieszkania J. Krzemieńskiego we wsi Cukrówka, powiat iłżecki, wtargnęło 5 zamaskowanych i uzbrojonych w rewolwery bandytów, którzy po steroryzowaniu domowników, związali ich sznurami, a następnie skradli 12 zł. gotówką. Po napadzie bandyci zbiegli do pobliskich lasów.

Krwawy napad bandycki W powiecie puławskim we wsi Szendowice do mieszkania Jana Jędrysa dostali się przez strych nieznani osobnicy, którzy usiłowali dokonać kradzieży. Zbudzeni domownicy rzucili się na włamywaczy, przyczem wywiązała się walka, w czasie której rabusie użyli broni, kładąc trupem, kilkoma strzałami synów Jędrysa, 33 letniego Adolfa i 31 letniego Bolesława. Idąc po śladach zbiegłych bandytów, znaleziono w pobliskim lesie rannego osobnika.

Walka policji z bandytami. Policja zorganizowała w Lubelskiem obławę na znanych włamywaczy Miedzieckiego i Głowackiego. Włamywaczy osaczono w mieszkaniu niejakiego Jęczenia. Bandyci zaczęli się ostrzeliwać, przyczem zabili posterunkowego Karasia i ranili posterunkowego Żaka. Głowacki zdołał zbiec, Miedziecki odniósł trzy ciężkie rany.

Samochód wpadł na oddział wojska. W Toruniu wydarzył się w poniedziałek wieczorem tragiczny wypadek przy zbiegu ulic Bydgoskiej i Szopena. Ulicą przechodził pluton żołnierzy z II baonu 67 p, p. Nagle z tyłu na maszerującą kolumnę żołnierską najechał samochód osobowy, stanowiący własność notarjuszowej J. Nalazkowej. Jedenastu żołnierzy zostało ciężko rannych, ulegając złamaniu rąk i nóg. Wszystkich ich odwieziono do szpitala wojskowego, Dwaj — J. Tusk i T. Jereczek znajdują się w stanie beznadziejnym. Sprawca strasznego wypadku, szofer, wyskoczył z auta i zbiegł przez sąsiedni ogród.

Za przemyt 180 wagonów ryb. Na 149.500 zł. grzywny zostali skazani dwaj bracia Dziedzice, hurtowni kupcy rybni z Gdańska za przemycanie do Gdyni ryb morskich z połowów zagranicznych.

Plaga wilków. W gminie Dokszyckiej powiatu dziśnieńskiego pojawiły się wielkie gromady wilków, wyrządzających ogromne szkody w inwentarzu domowym. W ostatnich dniach rozszarpały one 9 krów, oraz w niektórych wsiach pozagryzały wszystkie psy. Jak zaobserwowano wilki na teren tej gminy przychodzą z pobliskich lasów, położonych na terenie ZSRR. Na prośbę włościan władze administracyjne mają urządzić obławę na wilki.

Wyrok śmierci w Gdańsku. W gdańskim sądzie karnym rozpatrywana była sprawa gdańszczanina Jana Gregorowskiego, który obrabował i zamordował Marję Ruedigerową, właścicielkę kilku kamienic w Gdańsku. Sąd skazał Gregorowskiego na karę śmierci. Wyrok śmierci wywołał w Gdańsku wielkie poruszenie, bowiem od kilkunastu lat nie wydano na terenie W. Miasta żadnego wyroku śmierci.

Skazany przebywał na wolności a karę odsiadywał zastępca. W Poznaniu aresztowano niejakiego St. Kowalskiego, który skazany na 8 miesięcy więzienia, wynajął Fl. Siemickiego, aby ten odsiedział za niego karę, lecz Kowalski swym hulaszczym trybem życia zwrócił na siebie uwagę policji. Kowalskiego czeka więc nowa kara, a Siemicki naprawdę będzie musiał odsiedzieć karę za własne przestępstwo.

Kłopot z więźniem.



Do więzienia Lincold-Heights w Lon Angeles w Stanach Zjednoczonych przyprowadzono ze sądu więźnia, który dozorcom i zarządowi przysporzył niemało kłopotu. Więzień ten, 22-letni Piotr Davis, waży 207 kilogramów. Dla takiego olbrzyma musiano uszyć nowe ubranie, bieliznę, buty, urządzić odpowiednio celę, gdzie wstawiono odpowiednich rozmiarów sprzęty i łóżko. Olbrzyma tego widzimy powyżej.

Aresztowanie włoskiego dezertera. W Gdyni aresztowano włoskiego marynarza Giuseppe Zanasta, który zbiegł z włoskiego statku. Zeznał on, że chciał zbiec do Polski, by nie być wysłanym na front abisyński.

Na Bałtyku złowiono... samochód. Załoga kutra „Hel 121" podczas połowu szprotów wyłowiła w wielkiej sieci szprotowej... samochód. Przy wciąganiu na pokład samochodu karoserja wpadł z powrotem do wody. Rybacy do Helu przywieźli tylko podwozie. Samochód do wody rzucony został prawdopodobnie przez jakiś statek. Dotychczas nie ustalono, w jakich okolicznościach i dla jakich przyczyn samochód został zatopiony. Wygląd samochodu wskazuje, iż leżał on w wodzie trzy lub cztery lata.

Pierwszy występ porywaczy dzieci we Francji. Ludność Francji poruszona została do głębi porwaniem synka lekarza marsylskiego prof. Malmejac, za którego oddanie bandyci żądają 50.000 franków. Do jakiego stopnia doszło zainteresowanie tą kradzieżą dziecka świadczy fakt, że wielkie gazety francuskie wyznaczyły wielkie nagrody za schwytanie bandytów. I tak gazeta „Intras qeant" ofiarowała 50.000 fr., to jest potrzebną sumę, jaką bandyci za oddanie dziecka żądali. Gazeta „Paris Soir" wyznaczyła 40.000 fr. nagrody za udzielenie informacyj, które przyczynią się do ujęcia przestępców. Ta sama gazeta ofiarowała też 20.000 fr. dla policjantów, którzy zaaresztują porywaczy. Francuski minister poczt i telegrafów przychylił się do prośby nieszczęśliwego ojca, aby radjostacje francuskie ogłosiły komunikat, że prof. Malmejac skłonny jest zapłacić wymagane 50.000 fr. Informacja ta była transmitowana przez wszystkie państwowe rozgłośnie francuskie. — Energiczne poszukiwania policji, celem odnalezienia porwanego synka profesora Majmejac w Marsylji, zostały jednak uwieńczone powodzeniem. Dwaj inspektorzy policji odnaleźli małego Klaudjusza całego i zdrowego w willi na przedmieściu Marsylji. Willę zamieszkiwała niejaka 68-letnia Rolland, ze swoim synem 28-letnim Gilbertem Rolland, bezrobotnym Inicjatorem porwania dziecka przy pomocy matki był Gilbert Rolland. Otrzymał on bardzo staranne wykształcenie, ukończył w Paryżu szkołę nauk pięknych. Sprawców porwania dziecka aresztowano. Na wiadomość o znalezieniu małego Malmejac i aresztowaniu sprawców porwania go, przed gmachem „Surete" marsylskiej zebrał się tłum, który przybrał groźną postawę. Zachowanie się tłumu wywarło na aresztowanych tak silne wrażenie, iż złożyli natychmiast wyczerpujące zeznanie co do szczegółów porwania dziecka. Sprawcy, jak zeznali, działali z chęci zdobycia pieniędzy.

Bandyci w Turcji. W prowincji Urfa został zabity przez żandarmów bandyta Ramazua, który miał na sumieniu 49 morderstw, oraz szereg zbrojnych grabieży.

Przeszło tysiąc ofiar wybuchu. Wybuch w składach amunicji w Lancrau, stolicy prowincji Kransu, który wydarzył się 20 listopada, miał katastrofalne następstwa. Przeszło 1.000 osób zostało zabitych. Katastrofa ta rzekomo udaremniła plany rządu nankińskiego, w Chinach północnych.

Lotnicze pogotowie

ratunkowe.

Na lotnisku Creydon pod Londynem urządzono stację lotniczego pogotowia ratunkowego. Samolot sanitarny może w przeciągu 15 minut po wezwaniu, zjawić się na miejscu i przewieźć chorego do szpitala. Sanitarny ten samolot może oddać nieocenione usługi w wypadkach gdy chory potrzebuje natychmiastowej operacji, Londyn bowiem jest miastem bardzo rozległem, szpitale nie są wcale gęsto rozsiane, zwłaszcza na prowincji.



RZECZY CIEKAWE.

Ogród podmorski.

Na wyspach Hawajskich, nad brzegiem zatoki Waikiki żyje sławny Ted Dragan, znany jako „ogrodnik podmorski". Utrzymuje on mały sklepik, który jest w swoim rodzaju osobliwością. Można w nim ujrzeć oprócz pięknych okazów korali, różne niezwykłe rośliny, rosnące w wielkich głębinach morskich.

Turyści przybywający na Hawaj, chętnie nabywają te okazy jako pamiątki ze swej podróży i płacą za nie każdą żądaną cenę, bo Dragan nie ma konkurenta. Nic też dziwnego, że właściciel małego sklepiku jest człowiekiem bardzo bogatym.

Od najmłodszych swych lat Dragan interesował się florą morską. Z zamiłowaniem nurkował, aby zdobyć piękne rośliny, bujnie rozkrzewione na dnie mo-

rza. Potem, gdy był starszy, kupił sobie odpowiednie ubranie i narzędzia i zbieranie ciekawych okazów podmorskich zaczął traktować już poważnie, jako zawód. Do przyborów jego należą: szczypczyki, kilka par różnych nożyc oraz kolekcja noży, które z czasem udoskonalił pod względem formy, według swoich potrzeb. Co do kostjumu, to składa on się z pary krótkich spodenek płóciennych pantofli z tego samego materjału, szerokiego skórzanego pasa i okularów.

Od kiedy są w użyciu butelki.

Rzymianie już a przed nimi Fenicjanie, Egipcjanie i Grecy używali butelek szklanych. Butelki, używane przez Rzymian przypominały kształtem nasze karafki, znali oni jednak i butelki innych kształtów w zależności od użytku, do którego były przeznaczone. We Francji zaczęto używać butelek dopiero w trzynastym wieku, do powszechnego jednak użytku dostały się one dopiero w wieku piętnastym. Pierwsza huta szklana powstała we Francji w 1290 roku.

20 gramów Opium dziennie.

W Norwegji zmarł niedawno pewien kupiec, który stanowił prawdziwą zagadkę dla świata lekarskiego. Człowiek ten zaczął już w młodym wieku zażywać nalewkę makowicową, cierpiał bowiem na silne bóle żołądka. Stopniowo tak się przyzwyczaił do tego trującego narkotyku, że zażywał bez szkody dla organizmu 20 gramów opium dziennie. Jak sam podaje, stał się dzięki temu środkowi zupełnie niewrażliwym na wszelki ból fizyczny. Potrafił naprzykład po zażyciu opium całą noc przespać w szczerem polu, wśród trzaskających mrozów, bez żadnych ujemnych skutków dla zdrowia.

Miasto automatów.

Kopenhaga jest miastem automatów. Po zamknięciu sklepów można naprzykład z automatu otrzymać jaja, masło, pieczywa, owoce, delikatesy, konserwy, słodycze itd. Dalej klisze fotograficzne, baterje elektryczne, chustki do nosa itd.

Automaty ustawione na ulicach są czynne przez całą noc. Kopenhaga słynie ze swej uczciwości, dlatego nie potrzeba specjalnych dozorców do pilnowania tych automatów.

Każdy świattły Polak — pionierem oświaty: umiejący czytać uczy analfabetę!

Oto zadania Miesiąca likwidacji analfabetyzmu. Wskazówki w Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr 7.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **„Orlik“** w T.: „Wigilja Bożego Narodzenia“ mało zajmująca. Jest to kilka obrazków obchodzenia wigilji w mieście i na wsi, gdzieniegdzie urwanych, jakby niedokończonych, bez zainteresowania. Chociaż wigilja Bożego Narodzenia daje tyle tematu do pięknych utworów. Oba wierszyki do „Roli“ się nie nadają — **Karol Panek** z W.: Rabat od każdego sprzodanego egzemplarza jest 20 procent (6 groszy). Niesprzedane egzemplarze zwraca się na nasz koszt i za nie się nie płaci. Do każdej przesyłki dołączamy afiszyki reklamowe. — **Walenty Wodziński** w P.: Numera od 1 grudnia br. z przekazem rozrachunkowym pod wskazanym adresem wysłaliśmy. Dziękujemy i pozdrawiając Pana polecamy się nadal. — **Jan Gawronek** w Z. Do końca roku brak tylko 1 zł. Za życzenia dziękujemy i pozdrawiamy Pana.

Zagadki do nagrody.

1. Rekonstrukcja.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

b			k
	a	m	
	m	ó	
k			k

W powyższej figurze wypełnić puste kratki literami, aby dały wyrazy o jednakowem znaczeniu, tak pionowo jak poziomo.

2. Łamigłówki.

(Ułożył Stefan Kulis z Dz.).

. . a . . . . . a . ie . e . a .
. o . . . . o . . e . .

II.

. . . ie . . g . . . ą . . i . a .
. . o . a . . ą . . i

W obu łamigłówkach w miejsce kropek wstawić litery, tak, by zdanie utworzyło przysłowie.

3. Szarady.

I.
(Ułożył Kulifon).

Pierwsze i drugie każdej nocy bywa,
Czy to pogoda czy słota straszliwa;
Profesor uczniom dobrze to już wiecie,
Po odpowiedzi pisze drugie trzecie.
Całość wam, drodzy, sama wnet przyleci,
Gdyż tam jej dużo, gdzie analfabeci.
W całości ciężkie, marne ludzkie życie,
Uczcie się, to jej do nas nie wpuścicie.

II.

Pierwsze pół drugiego, to pasterze mają,
A na pierwsze trzecie ciężary wkładają.
A trzecia i pierwsza zamieszkuje wody,
Drugie trzecie idą w las, w pola, w ogrody.
Całość król potężny, elekcją wybrany,
Co kilka lat rządził Polską, bez nagany.

III.
(Ułożył Władysław Grażyński z W.).

Pierwszą otrzymamy, gdy gotujemy,
Drugą mówimy, gdy milczeć każemy,
Trzecią z drugą w zaimkach znajdziecie,
Całość zaś jest to miasto na świecie.

4. Bilety wizytowe.

I.

MIRET NIS.

II.

R ROPUNICZ

III

P. LAKAR

Poprzestawiać litery tych nazwisk tak, byśmy się z nich dowiedzieli czem są te osoby.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki powieściowe w nagrodę.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 21 grudnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nr. 49 „Roli“: 1. Łamigłówka: Zakaz 2. Szarady: I. Paryż. II Baranek. III. Pasieka 3. Zagadka: Karola. 4. Układanka: Kobyła ma mały bok. 5. Bilet wizytowy: Restaurator.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp: Jan Bober z W., Franciszek Klimeczko z W., Jan Ziomek z W., Michał Więcław z N., Jan Golonka z St. S., Franciszek Kamiński z Ś. Władysław Zaręba z O., Kasper Macuga z K., Jan Siuda z Ł., Jan Trojak z U., Pinkas Wagschal z J. (częściowo), Zdzisław Woźniczka z O. (częściowo), Józef Kapuściński (wierszem), Janina Turska z K.

Nagrody otrzymali py.: Franciszek Kamiński z Ś i Michał Więcław z N.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Feliks Kowalczyk. Drukarnia „Monopol“ Kraków, ul. Na Gródku L 2.

Giełda płodów rolniczych.

z dnia 10 grudnia b. r.

Przenica	18·25—18·50	Słoma długa	4·00—5·00
Żyto	13·90—14·10	Ziemniaki stoł.	4·50—4·75
Owies	14·00—14·25	Koniczyna na-	
Jęczmień	13·75—14·25	sienn. czer.	140·00—150·00
Fasola biała	23·00—25·00	Mąka żytnia	23·00—23.50
Groch zwyk.	30·00—32·00	Mąka pszen.	32·00—33·00
Siano słodk.	8·00— 8·50	Otręby pszen.	8·25— 8·50
Łubin żółty	11·00—11·25	Otręby żytnie	8·25— 8·50
Konicz.paste	9·50—10·50	Mąka czerw.	8.75—10·00

Ceny rozumieją się za towar średniej jakości za handl. 100 kg

Fałszywe posądzenie.

Pani (do żebraka): — Udajecie ślepego, a czytacie gazetę...

Żebrak: — Bardzo się pani myli, bo ja nie czytam, tylko oglądam obrazki.



Daleki krewny.

— Czy ma pan kogoś z rodziny?

— Ojca. Ale to mój daleki krewny.

— Jakże to może być?

— Bardzo prostym sposobem: ojciec mój mieszka w Nowym Jorku, a ja w Warszawie.



Przytyk.

Żona: — Pewien lekarz stwierdził, że choroba atakuje zawsze najsłabszą część organizmu.

Mąż: — Dlatego kobiety cierpią tak często na ból głowy.